

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Dr ALEXANDER BRÜCKNER

# Tragedya

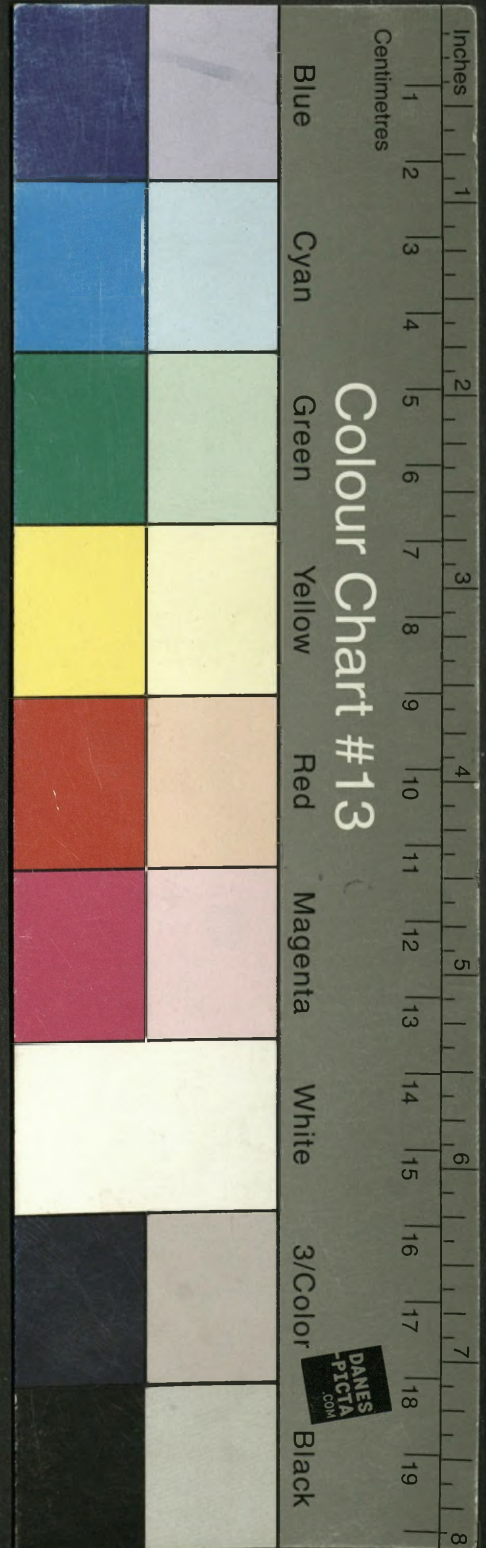
# Moskiewska

Szkice historyczne

„Samo się zle kasa“  
*Przystowie*



W Krakowie, w drukarni „Czasu“  
pod zarządem Józefa Łakocińskiego  
1901



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black


Centimetres

Inches

DANES-PICTA.COM

Dr ALEXANDER BRÜCKNER

---

Tragedya 

 Moskiewska

Szkice historyczne

„Samo się zle kąsa“

*Przysłowie*



W Krakowie, w drukarni „Czasu“  
pod zarządem Józefa Łakocińskiego  
1901



DYMITR SAMOZWANIEC.

Portret współczesny z galeryi rodzinnej Mniszców w Wiśniowcu,  
obecnie w zbiorach cesarskich w Moskwie.



Marianna MNISZCHOWNA  
Georgij Palamii  
Sandomiriensis ex Barbara  
Progenita Filia, Vxor Demetrii  
IMPERATORIS Moschouici.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

Portret współczesny z galerji rodzinnej Mniszchów w Wiśniowcu,  
obecnie w zbiorach cesarskich w Moskwie.

Dr ALEXANDER BRÜCKNER

# TRAGEDYA MOSKIEWSKA

SZKICE HISTORYCZNE

»Samo się zle kasa«.  
*Przysłowie.*



W KRAKOWIE

W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO

1900.

9/47

Odbicie z „Przeglądu Polskiego“.



34407 | 2

NAKŁADEM »PRZEGLĄDU POLSKIEGO«.

Jedna z najciekawszych postaci dziejowych — to niezaprzeczenie *Samozwaniec*, chociaż nie tajemniczość tylko, osłaniająca jego pochodzenie, ani samozwaństwo jego, ciekawość naszą pobudza.

Roi się przecież i w dziejach ludzkości i w kryminalnych rocznikach od pretendentów i oszustów, wpierających się w obce państwa czy dziedzictwa, poczawszy od maga Smerdisa w starej Persyi, a skończywszy na Pseudo-Danilłowiczu, procesującym Sobieskiego, na Ludwikach XVII i na Tichbornach angielskich. Jeden szalbierz mniej lub więcej — i komużby na tem co zależało? Wszak współcześni Sebastyanowie portugalscy, co to niby poumykali z pola rzezi, jak nasze Pseudo-Władysławy z pod Warny, nie wzbudzili w Europie ani setnej części tego zajęcia, jakie *Dymitrowi moskiewskiemu* słusznie i dziś jeszcze, jak przed trzema wiekami, się należy.

W gruncie nie rozstrzygało tu ani jego powodzenie chwilowe, uśmiechające się przecież każdemu szalbierzowi na początku, aby go później tem pewniej zawiodło, bo tylko jeden odegrał w spokoju przybraną rolę aż do końca życia, Woldemar Brandenburski.

Cóż więc pociąga w *Dymitrze*? Przecież legion pisarzy dramatycznych, a między nimi i Puszkini i Schiller, powieściowych z Prosperem Merimée na czele, historycznych, jak Kostomarow i inni, poświęcało mu natchnienie i pracę; odnajdujemy go na płótnach sławnych malarzy; ze współczesnych nikt, ani Gustaw Adolf, ani Wallenstein, ani Karol Stuart nie poruszyli tyłu piór w tyłu językach, jak właśnie Dymitr. Dlaczegoż to wszystkim?

Trudno rzeczywiście o dramatyczniejszą postać i najbujniejszą fantazją nie wymyśli dziwaczniejszej igraszki losu. Szczęście kapryśne dźwiga go na wyżyny, do których, zdawałoby się, ani oka nigdy wznosić się nie ważył; toż szczęście uprzęta mu usłużnie każdą przeszkodę ze zwycięzkiego pochodu, zaślepia przeciwnika potężnego i mądrego a nie przebiegającego w środkach, jedna mu licznych, dzielnych, przezornych sojuszników. I zaledwie wyżyn tych dosięgnął, otwiera mu się jasny widok na dalsze niesłychane sukcesu, ofiarują mu do moskiewskiej i koronę polską: w czapce i „barmach“ Monomacha sięga on, jedyny w dziejach, i po „szcherbiec“ Chrobrego. Lecz w jednej chwili znika znowu wszystko, jak w widziadle sennem; gdy najpewniej szczęściu ufa, najhaniebniej go ono zdradza i ten, który najnieprawdopodobniejszych rzeczy gładko dokonał, roztrącił los swój o najmniejszą przeszkodę — o jedną belkę drewnianą własnego pałacu!

A czegoż to nie spodziewano się po awanturniku!

Liczył na niego przedewszystkiem Rzym. W walce o Wschód przegrywał on stale w XV i XVI wieku; ani z Unią Florencką greccy kardynałowie Izydor i Bessarion, ani Zofia Paleologówna, wielka księżna moskiewska z poręki papieskiej, ani w końcu zwycięztwa Batorego nie posunęły go i krokiem naprzód; owszem, każdy sukces chwilowy, pozorny, pogłębiał tylko przepaść, dzielącą oba Kościoły. Lecz teraz uśmiechało się wszystko i podobnie szczęśliwa konstellacya nigdy się więcej powtórzyć nie miała: w obrębie państwa polskiego już dzieło Unii kościelnej, jeżeli nie dokonane jeszcze zupełnie, obiecywało przeciw rychłe, stanowcze zwycięztwo i otwierało drogę na dalszy Wschód; na tronie carskim zasiadł katolik a patriarchą moskiewskim został wychowaniec rzymskiej „propagandy“! I nagle tryumf największy, najpewniejszy, zamienił się w klęskę najfatalniejszą, niepowetowaną nigdy więcej.

Liczył dalej na niego król polski, czyli raczej szwedzki; Dymitr miał przecież Zygmuntowi III wyzwąć i zgnać Karola, rugującego go ze szwedzkiego dziedzictwa; Dymitr miał mu bronić granic od Tatar i Turków; Dymitr miał mu wrócić

awulsy polskie i Siewierz i Smoleńsk, a za taką cenę zламаł Zygmunt Borysowi zaprzysiężone uroczyście, świeże jeszcze przymierze bez skrupułów sumienia. Lecz przysły i te bańki mydlane; zamiast wdzięcznego a potężnego sprzymierzeńca, dopytał Zygmunt tylko nowego wroga, a winę ojca i króla syn i naród odpokutować musieli. Czegóż dopiero nie spodziewali się po nim Mniszechowie — spłaty długów olbrzymich i nadania państw jeszcze większych! — Wiśniowieccy, Stadniccy, Tarłowie i tylu innych, co ufni w jego gwiazdę szczęśliwą, za nim do Moskwy dążyli, panowie i błaznowie, hussarzy i Kozacy, Niemcy i Włosi, grajkowie i kupecy, wszyscy w nadziei łatwych łupów i wielkich zysków, po to spieszący, aby wpadli w łyka śmierci haniebnej, turmy smrodliwej, grabieży bezczelnej, przeciw prawom narodów i obietnicom uroczystym.

Lecz jeszcze wiele więcej miał znaczyć dla Rosyi samej ów Dymitr. Na tronie osiadł przecież na sto lat przed Piotrem Wielkim człowiek, ceniący zdobycze nietylko materialne, lecz i moralne Zachodu, pragnący wyrwać kraj swój z więzów barbarzyństwa i otrzeć go z pleśni wiekowej, rozbić mury chińskie, dzielące go od Europy, pragnący światła, powietrza, ruchu dla siebie i dla swoich. I najszlachetniejsze jego instynkta zgubiły go właśnie najpewniej, a naród jego, co już za Borysa zdawał się wstępować na nowe tory, cofnął się nazad, odwrócił od Zachodu i zawrzał stokroć gorzej nienawiścią ku „Litwie“.

Bo cóż za straszne następstwa wywołał ten epizod!

Rzecz 27 maja 1606 r. była przygrywką do burzy krwawej, szalejącej latami we wnętrzach Rosyi, niszczącej naród i jego zasoby, rzucającej złupiony i odarty kraj pod nogi obcego mocarza. I zajęli wreszcie Kreml zwycięzcy Polacy i dotrzymywali go w tryumfie Władysławowi czy Zygmuntovi, aby w końcu, oblężeni, wyjść tylko szczury kremłowskie i setki rękopisów greckich biblioteki carskiej<sup>1)</sup>, a spie-

<sup>1)</sup> Z pergaminów tych wygotowali sobie Polacy klej pożywny. Tak zaginał jeden z najbogatszych może zbiorów

rać się sądownie o to, kto bliższy do pożarcia trupa, czy własny brat, czy towarzysz zmarłego!

Wiemy dziś wprawdzie, że nie sam Dymitr, nie sama „intryga jezuicka“, nie same machinacje bojarskie te przewroty wywołały; dla nas nie Dymitr sytuację, lecz sytuacja Dymitrów tworzyła; pytamy nie o osobistości, lecz o stosunki i prądy, jakie Dymitrów na czoło wysuwały. Dla współczesnych jednak uosabiał Samozwaniec treść dziejów; „rozstrzyga“ - wywłoka, narzę dzie szatana, całą winę ponosił od niego samego liczono lata „smuty“, t. j. zamętu, narodowego i społecznego kataklizmu, grożącego zagładą i prawosławiu i wszystkiemu, co ruskie. Tak staje się Dymitr osiłą intrygi i akcyi; każdy też, piszący o czasach i dziejach, od niego zaczyna. A piszących był legion.

Wystarczy przypomnieć, że pamiętnikarstwo polskie w godzinę śmierci Dymitrowej się narodziło. Byli przedtem u nas annaliści, kronikarze, dziejopisarze, lecz pamiętników, dzienników, wspomnień, nikt nie pisywał; ani Górnickiego *Dzieje w Koronie*, ani listy Piotrowskiego luki tej wypełnić nie zdołają. Lata 1606—1612 dopiero wysypały jak z rogu obfitości Niemojewskich, Stadnickich, Dyamentowskich, Sapiehów, Maskiewiczów, Żółkiewskich i innych i zapoczątkowały ów nieprzerwany odtąd ciąg dyaryuszów, wspomnień, relacyj, charakterystycznych dla wieku XVII. jeżeli go z XVI-ym porównamy. A jak w polskiej historyografii, odbił się Dymitr i w ruskiej, bijącej żywszym i bogatszym prądem dopiero od niego.

Czem więcej jednak współcześni o Dymitrze prawili i pisali, tem zagadkowszą stawała się jego osobistość. O prawdę bowiem starali się tylko ci, którzy nigdy do niej dotrzeć nie mogli; ci zaś, co nią władali, zacierali starannie wszelkie ślady. Powiodło się im też znakomicie i dziś jeszcze, jak przed trzema wiekami może, kto chce podawać Dy-

---

rekopisów greckich. Nie wiedząc o tem, szukano jeszcze przed kilku laty po wszystkich piwnicach kremlowskich za ową biblioteką carską — napróżno.

mitra za syna Iwana Groźnego, za Batorowego bastarda, za wywłokę Otrepiowa, może śledzić w nim za intrygą jezuicką czy polską, za kabałami bojarów czy czerńców. Niemożliwość wykrycia tajemnicy, zamiast odstręczać, wabi tylko ciekawość dziś, jak przed wiekami i prób rozwiązania zagadki liczymy coraz więcej.

Do kreślenia postaci Samozwańca i epizodów owej „smuty“, owego zamętu, można przystępować z kilku odmiennych stron: można pytać głównie, kto on i z kąd się wziął, kto go przygotował do roli dziejowej? Albo można pytać, jak się to wszystko stało, jakiż był przebieg zewnętrzny niesłychanej tej akcji, gdzie się ona zaczęła, rozwijała i dokonała? Można wreszcie pominąć samą osobę Samozwańca i zewnętrzną ciągłość wypadków, a skupić uwagę wyłącznie na przyczynach „smuty“, na stanie politycznym i społecznym, który wydał straszny ten owoc.

Najnowsza historyografia w rosyjskim, polskim, francuskim i niemieckim języku kroczy właśnie po wymienionych torach. Dzieło polskie Dr. Aleksandra Hirschberga <sup>1)</sup> obfituje w informację, zaczerpniętą ze źródeł najpewniejszych, zbieranych mozolnie po bibliotekach i archiwach polskich, rosyjskich, włoskich, szwedzkich, wiedeńskich i przedstawia jak najpełniej i najdokładniej zewnętrzny przebieg tej akcji, urywając na rzezi 27 maja, na epizodzie pierwszym „smuty“, miejmy nadzieję, że autor dopowie nam na podstawie obfitych swych źródeł i dalszy jej rozwój. Niemieckie rozprawy odesskiego uczonego, p. Szczepkina, zamieszczone w *Archiv für slavische Philologie*, tomie XX—XXII, podejmują pytanie, postawione przez Kostomarowa przed 36 laty (w znakomitej broszurze: *Kto był pierwszy Dymitr?*) i podają najsubtelniejszej analizie wszelkie możliwe świadectwa i wskazówki współczesnych, aby mózgi pod maskę Dymitra podglądać. Najnowsze wreszcie dzieło profesora petersburskiego, Płatonowa, najwybitniejszej postaci w gronie młodszym historyków rosyjskich, bada przedewszystkiem geogra-

<sup>1)</sup> *Dymitr Samozwaniec*. Lwów, 1898, z ilustracjami, str. 292.

ficzne, ekonomiczne, polityczne położenie Wielkiego Księstwa, rywalizację rodów i stanów, prądy społeczne i narodowe i ich stopniowe wciąganie i oddziaływanie na rozwój „smuty“, a poprzednie jego dzieło zbadalo było wszystkie źródła rosyjskie XVII wieku dla historii „smuty“, oceniając rozważnie stanowisko, cel, czas, autora każdej z owych licznych powieści i *Skazań*.

Wymieniliśmy tylko trzy najdonioślejsze dzieła i imiona; ale każdy nowy przyczynek wywołuje bogatą literaturę, że tu tylko o owym liście własnoręcznym Dymitra do Klemensa VIII wspomnimy, odnalezionym i wydany w r. 1898 przez X. Pierlinga T. J., któremu prócz najrozmaitszych komentarzy historyków i filologów, poświęcili obszerne prace prof. Ptaszycki (po rosyjsku) i prof. Baudouin de Courtenay (po polsku). Przypomnijmy wreszcie, że na kartach *Przeglądu* pojawiła się była przed trzydziestu laty praca Józefa Szujskiego o Samozwańcu, bogata szczegółami o Marynie i oceniająca z wyżyn historyzoficznego poglądu ów konflikt polsko-ruski.

Jakież zadanie naszego szkicu wobec tylu prac tak znakomitych poprzedników? Cóż powiemy sami bez nowych źródeł, odkryć, kombinacyj?

Nie myślimy opowiadać zewnętrznego przebiegu głośnego epizodu: nowe dzieło p. Hirschberga zaspokoi pod tym względem wymagania najwybredniejsze, albo dawne dzieło Kostomarowa, choć w szczegółach nieraz zawodzi, da się i dziś jeszcze odczytać z głębszem zajęciem, niż historyczne romanse tegoż autora; koloryt i rysunek tu wierniejsze a styl prostszy. Naszą rzecz dopowiemy tylko do wystąpienia Dymitra w Krakowie i na ziemi Wielkiego Księstwa.

Nas zajmie więcej kwestya osobistości. Któż był ten Samozwaniec, któż go wspierał i jakich sposobów się chwytano, z główną uwagą na udział polski w owej intrydze.

Najwięcej jednak zajmie nas pytanie, jak wyglądała ta Moskwa Samozwańca, w jakim otoczeniu, między jakimi ludźmi, w „dumie“ i w obozie, w cerkwi i celi, w Kremlu i na „płoszczadzi“ (placu), w domu i w podróży, w turmie

i w kabaku rozegrała się tragedia Dymitrowa, bo wtedy dopiero zrozumiemy jej przebieg, rozmiary, znaczenie.

W Europie znano wprawdzie od dawna Moskwę, głównie z łacińskiego dzieła posła cesarskiego, Zygmunta Herbersteina, które z gruntownością iście niemiecką, na podstawie autopsyi i ścisłych informacji o państwach Białego Cara spokojnie i wszechstronnie, uczenie i trafnie rozprawiało. Baron Herberstein był dwa razy w Moskwie, wywiadywał się o wszystkim, a najbardziej o dziejach współczesnych, o rzeczach wiary i o położeniu geograficznem kraju; zbierał pomniki i relacye pisemne i ustne, znał język i pismo ruskie; znakomite ze wszech miar informacye jego wypisywali późniejsi (n. p. Gwagnin u nas) w zawody; dzieło jego przedrukowywano nieraz (od r. 1549), cenne są i jego ilustracye. Herberstein polemizuje nieraz z innymi, n. p. z naszym Miechowitą, poprawia go.

Na Zachodzie samym najwięcej i najlepiej wiedziano o Moskwie w Anglii. Handlowa jej „kompania moskiewska“, obdarzana od Iwana Groźnego największemi przywilejami, ulgami od cel i t. p., szukająca przejazdu morskiego do Chin a nawiązująca handel lądowy z Persyą, wymagała od swoich agentów znajomości kraju, urządzeń, zwyczaju. Od r. 1553, gdy to Chanslor Rosyę (t. j. znany już dawniej przejazd morski na Archangielsk) „odkrył“, ciągną się relacye kupców i dyplomatów angielskich do końca wieku, relacye bardzo różnej miary i wiary. Najgruntowniejszy opis kraju i rządu zestawił bądź z autopsyi, bądź z relacyj innego Anglika, Horseya, Fletcher (*Of the russe commonwealth* i t. d., Londyn, 1591 r.), którego Karamzin pełną ręką wyczerpywał, a cenzura Mikołajowska dla szorstkiej prawdy nie przełknęła. Fletcher nie opowiada, tylko wylicza i opisuje, od geograficznego położenia kraju począwszy, a na kłamliwości moskiewskiej zakończywszy; Horsey zato opowiada, co widział na dworze Iwana Groźnego, Fiodora, Godunowa i uchodzi za źródło historyczne, łże jednak tak bezwstydnie, że całą Moskwę zakasował. Kłamstwa, za które w Moskwie przystawa wybatożono, zjednały mu powagę, cytują go n. p. dla wa-

żnego epizodu w zamordowaniu carewicza Dymitra, chociaż epizod ten, mojem zdaniem, on taksamo wymyślił, jak n. p. zabicie krokodyla nad Wisłą, rozmowę z Anną Jagiellonką o Elżbiecie i Maryi Stuart, roztrząsania Iwana Groźnego o właściwościach drogich kamieni i t. d.—dlatego pomijamy tego Münchhausena. I inne źródła angielskie, nawet przechwalony Fletcher, bywają bardzo mętne; najkrótsze a zarazem najlepsze jest to, co Chanslor sam spisał; eksploatując kraj ze wszech sił, gardzili Anglicy narodem i Iwanem Groźnym, mimo wszystkich umizgów jego do Elżbiety; jak Hollendrzy (n. p. Massa), patrzyli i oni tylko okiem kupca, rzadziej podróżnika, na kraj; informacye też obu o akcyi i głównych jej osobach bywają bardzo liche; historycy zazwyczaj je przeceniają.

Nie podróżnik, kupiec, poseł, ani misyonarz *à la* Possevino, lecz dzielny żołnierz, kapitan gwardyi przybocznej Borysa Godunowa i Dymitra, Jakób Margeret, zostawił nam znakomity, choć krótki, opis ludzi i dziejów: *Estat de l'Empire de Russie* etc. (Paryż, 1607 r.), dziełko napisane z wielką stosunkowo sympatją dla Rosyi; Margeret, to niby pierwszy zwiastun francusko-rosyjskiego aliansu. Pomijamy inne dzieła Niemców (Bussow, Peyerle, Olearius), Szwedów (Petreius), Francuzów (De Thou), Duńczyków (Uhlfeld), Włochów (Possevino) i t. d., i t. d.

Polska, pomimo tego, że granice jej stykały się na kilkaset mil z moskiewskimi, zajmowała się Moskwą stosunkowo mało; miała przecież Ruś w obrębie własnego państwa, znała ją w domowym pożyciu, zaczęła z nią walkę o prawosławie, polszczyła ją kulturą, dworem, urzędem. Z Moskwą nie podtrzymywała trwałych, ścisłych stosunków; znoszenia dyplomatyczne i handlowe urywały się ciągle; wyprawy wojenne dotykały zawsze tylko pogranicza; kandydatury moskiewskiej, aliansu wieczystego na seryo nigdy nie traktowano. I obustronni zbiegowie czy wychodźcy nie zmieniali położenia rzeczy; z Moskwy do Wilna i na Wołyń nie było ich wiele, kilkunastu czerńców, przesładowanych w Moskwie o wiarę, Kurbski, uchodzący „opały“ Iwana Groźnego, bracia Chripunowy, uciekający przed Borysem. Więcej wycho-

dzilo z Polski i Litwy do Moskwy; za dawnych jeszcze czasów Bielscy, Golicyny, Glińscy i inni kniaziowie Gedyminowicze, później coraz więcej szlachty drobniejszej; między tłumami, uszykowanymi dla przepuszczenia ambasady polskiej do Kreniła 26 listopada 1600 r., było, opowiada Pielgrzymowski:

Polskiej szlachty, litewskiej, którzy za Stefana  
 Na służbę się udali do kniazia Iwana,  
 Zbiegów także немало, którycheśmy znali...  
 Jednoż rozmów z naszymi mieć im zakazano,  
 Zakrzewskiego, że ją miał, gardłem pokarano,  
 Drugich który kto z naszych dotknąć chciał rozmową,  
 Okiem kinał tam i sam, milcząc, kiwnął głową...  
 Naszych wszędy na czoło, co ich jedno mieli.

O nieszczególnym losie tych „wysielenców“ opowiadają nieraz nasze źródła; dobrze im tak, mówi Pielgrzymowski.

Rok 1605 jednak zdawał się początkiem całkiem nowej fazy dziejowej w stosunkach obu głównych narodów słowiańskich; wrogie i nieufne usposobienie miało ustąpić trwałej a szczerzej zażyłości i przyjaźni; zanosilo się na zespolenie sił przeciw wrogom chrześcijaństwa; zastawy, strzegące dotąd tak zazdrośnie Moskwy przed obcymi, runęły odrazu, a wyłomem tym rzuciły się całe zastępy polskie ku Moskwie. Ogromnie ceniono przewrót ten, im mniej się go spodziewano; liczono teraz nań pewnie i niema nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owe wierszyki słynnego wierszoklety, X. Stanisława Grochowskiego, ilustrującego *ex offo* każde ważniejsze zdarzenie współczesne, p. t. *Krakowska Polaków z Moskwą biesiada r. p. 1605*, które Ophanasowi, posłowi Dymitra, „życzliwy przyjaciel na ucieszną drogę ofiaruje“: po złych nastaly teraz dobre chwile,

Więc my troski ciężkie brzemię  
 Porzucmy teraz o ziemię,  
 Weseląc się z wesołymi.

Szereg toastów przeplatają rusko-polskie wzywania do zażycia wesołej biesiady:

Posłuchajcie baćka dzieci:  
 Nie wsiohdy hrad z nieba leci;  
 Nie wsiohdy Boh swych frasujet...  
 Nie żuryte swej hołowy,  
 Budut dla was i pirohy...  
 Miaso wy jeźte mužowie,  
 Hodujcie se bojarowie...  
 Tohdy sia ludie kumajut,  
 Koli harazd naliwajut,

ale nie ruskiej „horełki“, wina beczkę do dna wysuszymy, zjednoczeni na strach poganom

Z tym dobra noc, dobrzy goście!  
 My do gospod idziem proście.

Lecz rychło rozwiął się ten szal radosny; dworzanie i straż Dymitra, jego orszak ślubny, imponujący liczbą, przepychem i animuszem, nieposiadający się z dumy, obudzili się jednego pięknego poranku kupą odartych więźniów, dziękujących Bogu za pozostawienie przy życiu, oplakujących pobitą bracię, sługi pomordowane, rozszarpane dobytki, pragnących gorąco tylko jednego, wydostania się najprędzszego z owego piekła moskiewskiego, powrotu do miłej ojczyzny, na co jeszcze latami czekać musieli w ciągłym a ciężkim utrapieniu moralnym i fizycznym. Wygrała literatura: w więzieniu moskiewskim powstawały dzieła i tłumaczenia *Relacyj Botera*, ód Horacego, pieśni religijnych, nie mówiąc o pamiętnikach i dyaryuszach niewoli.

Śmierć jednak Dymitra nie zerwała polsko-ruskich stosunków. „Smuta“ moskiewska i rokosz polski zeszyły się niemal równocześnie; po miękkim co prawda zgnieceniu rokoshu, niesforne rycerstwo i hałastra dały się łatwo zwabić dalszem zamieszaniem moskiewskiem, widokiem nowych za-

ciągów, nadzieją łupów obfitych i drogą, którą wojewoda sandomierski otworzył, spieszyły teraz roty Sapieżyńskie i Lisowskie, a wobec coraz nowych, coraz groźniejszych komplikacyj, ruszały zastępy i Żółkiewskiego i Chodkiewicza.

Wszystko to, co ci Polacy i Litwini doświadczyli, widzieli, słyszeli, było tak niezwykłym, że mimowoli obudzała się chęćka zapisywaniem wrażeń i wypadków sobie i innym dla nauki i przestrogi treść ich ważniejszą uprzytomnić. W tym samym celu przecież wezwał był już r. 1603 Lew Sapięha Eliasza Pielgrzymowskiego, towarzysza missyi dyplomatycznej, aby opisał szczegółowo odbytą legacyę, „żeby te rzeczy do uszu Rzpltej, której to o sławę i bezpieczeństwo w tem idzie, przyszły“. Ani Pielgrzymowski jednak, ani Niemojewski, najbardziej szczegółowy, ani Maskiewicz nie opisywali wszystkiego, przebierali w tem, co widzieli i kuso nieraz wypadłyby nasze szkice, gdybyśmy się źródłami polskimi z lat 1603 — 1612 ograniczać chcieli. Lecz wolno nam je dopełniać ze źródeł i obcych i dawniejszych; przy nieruchomości bowiem porządków moskiewskich, opartych na tradycyi, powtarzało się w r. 1605 lub 1606 to samo aż do najdrobniejszych szczegółów, co nam n. p. w r. 1518 opisują. Źródła od Herbersteina więc aż do Paska i do wychodźcy moskiewskiego, Kotoszycina — Herzena XVII wieku, tylko że nie w Anglii, lecz w Szwecyi porządki moskiewskie objawiał — to znaczy źródła z przeciągu półtora wieku (1520-1670) traktują głównie o tych samych ludziach, pojęciach, zwyczajach, obrzędach, zasobach, instytucjach.

I tak n. p. przy uroczystem przyjęciu obcych posłów, przypuszczanych lub nie do ucałowania ręki carskiej, stała zawsze obok cara nalewka, z której umywał on potem rękę jakby pokalaną dotknięciem czy przytomnością samą obcego,, heretyka. Herberstein przyjął to dość obojętnie; Zygmunt Stary gniewał się o ten despekt, groził, że będzie wysyłał do Moskwy „trębaczy w poselstwie, bo ci miewają gęby krostawe“. Possevino oburzał się na zwyczaj barbarzyński. Zostało po dawnemu; tak przyjmował i Borys starego druha

swego, Lwa Sapiehę, a nawet „zachodowiec“ Dymitr, gdy poselstwo Zygmunta III witał, miał obok tronu „miednicę srebrną, złocistą, z wodą... do umywania po audyencji, pokazując się nie być niczem zmazanym mową od cudzoziemca“.

Przy carskim obiedzie mięsnym, dawanym dla posłów, szły na pierwsze danie łabędzie pieczone, jak opowiadają Herberstein i Angliey; w *menu* Samozwańca na pierwszym miejscu i Niemojewski „kolano łabędzie“ wymienił, a znane są żarty Paska z powodu zaproszenia na „huzno lebiaze“, jakim go stolnik moskiewski w imieniu carskiem uczył.

Wolno nam więc owe źródła wszystkie składać; składanie zaś takie i porównywanie jest tem potrzebniejsze, im więcej zależy na wykazaniu, z kąd i od kiedy wychodziły rozmaite ich szczegóły, jak je nieraz upiększano i powiększano, jak urastały bajki; chociaż szczegółów pracy przygotowawczej wytaczać nie myślimy, wspomnimy znowu o dwóch takich rysach, stereotypowych w dawnych relacjach.

Dla dowodu, w jakiej to niewoli jęczeli niegdyś wielcy kniaziowie u Tatarów, przytacza Lew Sapieha (u Pielgrzymowskiego), że posła tatarskiego, wjeżdżającego do Moskwy, witać musiał pieszo Książ Wielki, kubek kobyłego nleka podać siedzącemu na szkapie i „gdy kropla na grzywę końską z wása spadła, Książ lizać ją musiał“. Rys ten powtarzają wszyscy, n. p. jeszcze Samuel Twardowski w swoim *Władysławie IV* (r. 1648).

O poszanowaniu nadzwyczajnem Świętych zgodnie opowiadają, mianowicie o wzywaniu Nikoły Możajskiego, „skoropomocnika“, władcy nad zastępem trzystu aniołów, lecz nie przeszkadza to bynajmniej karaniu Świętych za niedanie sukcesu uproszonego, i tak każą Iwanowi Groźnemu mścić się osobiście nad obrazem Nikoły Możajskiego (czy Michaiła Smoleńskiego); pierwotna jednak relacja twierdziła tylko, że Groźny dla niepowodzenia, gdy go zbito pod Kiesią, narzucił na Nikołę wielką „opałę“ (gniew carski), że mu dzwonić nie kazał przez lato i zdjął z obrazu kosztowny parament.

Różnice czasu i miejsca tłómaczą nieraz sprzeczności naszych relacyj: Niemojewski n. p. twierdzi, że w Moskwie

„słowikowi jakoby mu gębę zawiązał, kuropatwy, przepiórki i t. d. niemasz“, tymczasem Fletcher opowiada z Moskwy o wesołym gwarze ptasząt, „szczególniej słowiki zdają się tu i głośniejsze i bogatsze w tony odmienne, niż po innych krajach“ i o mnóstwie kuropatw. Otóż Niemojewski pisał o stroinach północnych (nad Białem Jeziorem); pisząc o czasach zupełnego wyczerpania wszelakich zasobów, nie zgadza się nawet z Pielgrzymowskim; nienawiścią i pogardą zarazem odplaca on utrapienia, jakich doznawał, dostawszy się w awanturę moskiewską, jak Piłat w *Credo*.

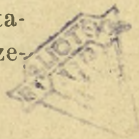
Przysiępując do charakterystyki Moskwy, jej rządu i wojska, wiary i obyczajaju, stanów i zasobów, uwydatnimy te rysy tylko, które występowały znamiennie w przebiegu tragedyi Dymitra, wpływały na akcyę, pobudzały lub hamowały bojarów i czerń, szlachtę i duchowieństwo, strzelców i Kozaków.

---

*Pogańską Litwę* — tak bowiem nazywała i ceniła Moskwa Polaków — przekraczając „zastawy“, uderzał przede wszystkim duch fanatyzmu religijnego, najskrupulatniejsza, zabobonna obrzędowość, nienawiść ślepa, gardząca każdym obcym, jako heretykiem, zarozumiałość bez granic co do własnej, jedynej prawowierności i w rzeczach wiary nieuctwo kompletne.

Był to właśnie czas najwyższej tolerancji religijnej w Polsce, kiedy to n. p. księża włoscy, zaproszeni przez kanonika (w Wilnie), nie mogli się nadziwić, że u stołu i kalwin (Jewłaszewski) jako gość zasiadał. Tem więcej raził Polaków ów fanatyzm; tem mniej się niestety z nim liczyli.

Fanatyzm ów wzrastał wiekami. Zasiłali go i wypielęgowali Grecy; obcy zupełnie szczepowi pogańskiemu i słowiańskiemu, przyjął on się, gdy nie mu nie przeciwdziało, tak doskonale, że w końcu i wbrew Grekom samym się stał. Po upadku Konstantynopola bowiem jedynym „chrze-



ściańskim“ władcą na świecie pozostał Wielki Książę (a od r. 1547 car) moskiewski, jedynym niezawisłym dostojnikiem cerkwi „prawowiernej“, czyli według najmylniejszego tłómaczenia „prawosławnej“, metropolita (a od r. 1589 patriarchy) moskiewski. Pierwszy Rzym—twierdzono na Rusi—odszczepił się niegdyś od wiary prawdziwej; drugi Rzym (Bizancyum) wpadł dla grzechów pod jarzmo pogańskie; trzeci i ostatni, a zarazem najświętszy Rzym, ocalał w Moskwie; powstawały osobne legendy nawet, dowodzące przechodu wszelkich świętości z Rzymu do Rusi moskiewskiej; temi samemi słowami poświadczał to r. 1589 patriarcha Konstantynopoliński Jeremiasz w Moskwie. Ale na Rusi utożsamiano prawosławie z wszelkimi naleciałościami, jakie się w ciągu wyodrębnienia cerkwi ruskiej, przy ogólnym zastoju umysłowym i nieuctwie duchowieństwa, tu przyplątały. Zamiast dać się pouczać od Greków, podejrzowano później ich własne prawosławie; zarzucano im, że greckich Ojców Kościoła drukują im i fałszują katolicy i protestanci po Wene-cyach i Paryżach; zaprzeczano im, żeby od nich wiarę przyjęto i powoływano się w tym celu na bajkę o apostołstwie św. Andrzeja na Rusi; zaliczano ich nawet do „niechrześcjo-nych“, bo nie ponurzanych w wodzie wedle zwyczaju ruskiego i odgrażano się, że nie należy i ich wpuszczać do cerkwi. Szło to wszystko *crescendo*.

Cerkiew ruska, niegdyś kierowana wyłącznie przez Greków, wyemancypowała się była już dawno z pod ich wpływu, stanęła samoistnie obok patriarchatów wschodnich i nie poddawała się im więcej. Skład „własti“, t. j. dostojników duchownych, zasiadających w soborze po lewej ręce carskiej, przedstawiał się w rzeczy samej wcale imponująco: jeden patriarcha, czterech metropolitów, kilku archiepiskopów, nie licząc wладыk, archimandrytów i ihumenów, a jedno władcytwo liczyło nieraz stokroć więcej cerkwi, niż cały jaki patriarchat wschodni. Środki materyalne tej cerkwi były również olbrzymie, szczególnie niektóre lawry-monastery skupiały rozległe obszary ziemskie, bogate handle i niezmierne kapitały w swych rękach; ze skarbów samego archiepiskopa

nowogrodzkiego miał Iwan Wasilewicz „tylko srebra, złota a klejnotów trzysta wozów do Moskwy wywieźć“, jak tradycya stale powtarzała. Od dawna też ponawiały się rok rocznie pielgrzymki patryarchów i innych dostojników cerkwi wschodnich do Moskwy po jałmużnę, wydzielaną im bardzo szczerze, i schlebiali Grecy w zawody tej bogatej Rusi, chociaż czuli się w niej, jakby ptacy w klatce: pod takim ścisłym nadzorem ich trzymano, że nawet na osobności w celach podpatrywano każdy ich krok przez dziurki od zamku; aż na Małorusi dopiero, między Czerkasami, t. j. Kozakami, oddychali Grecy wolniejszą pierśią.

Lecz w rażącym przeciwieństwie do liczby i potęgi tej hierarchii stał poziom jej moralny i umysłowy. Nauki nie było żadnej; dla wyświęcania na popa starczyło złożenie opłaty, czytanie psalterza, znajomość obrzędów, czego wszystkiego syn u ojca się wyuczał; literatury własnej teologicznej nie było, starczyły odpisy dawnych przekładów z Ojców Kościoła greckiego, tak zaniedbane w języku i formie, tak pełne błędów, że o głębszem rozumieniu nie mogło być mowy; nachwytnie się frazesów „od pisania“, powierzchowne czytanie, tworzyły już teologa-bogosłowa. Upadek nauki był widoczny, biadali nań niektórzy dostojnicy kościoła, lecz o własnych siłach postęp był niemożliwy. Szukano pomocy u obcych, ale własne nieuctwo, nieufność i upór, uniemożliwiały najlżejsze próby reformy.

Gdy wreszcie patryarcha Nikon energiczniej do usunięcia najbardziej w oczy bijących niedostatków, oparty o autorytety greckie, przystępował, gdy zamiast „Isus“, żądał wypisywania „Iisus“, gdy znak krzyża św. nie dwoma, lecz — Bóg trójcę lubi — trzema palcami kłaść kazał, gdy zamiast Nikoły, Nikołaja wzywał, odpadła wielka część prawowierne go narodu od patryarchy i Kościoła i trwa do dzisiejszego dnia w schizmie-raskole.

Dysputować z prawosławnym o rzeczach wiary było i zakazane i niepodobna: argumentów on nie uznawał, przeciwnika zagłuszał i pięścią się mu odgrażał, nie odstępując ani na jotę od zwyczaju i obrzędu, choćby bezsensownego

Gdy ihumen troicki Dyonizy, poprawiając wedle zlecenia teksty, z modlitwy przy poświęcaniu wody odrzucił niestosowny dodatek, zasądził go za to r. 1618 sobór moskiewski; morzono go, wodzono na łańcuchu i wystawiano na kulaki i wyzwiska tłuszczy. Rażącego nieuctwa między wyższem duchowieństwem nie brakło jeszcze i w końcu XVII wieku, ale co Fletcher opowiada, przechodzi wszelkie wyobrażenia, n. p. żeby „biskup“ (czy nie mnich raczej?) nie wiedział liczby Ewangelistów i t. p. Lud Modlitwy Pańskiej nie umiał, dziesięciorgiem przykazań, jako żydowskiem, gardził, *creda* nie potrzebował, gdyż tajemnie wiary popolitować nie należy; bił za to kornie pokłony, wzdychał „Hospodi pomiluj“ i żegnał się ciągle; jadł w sobotę mięso — choćby pogańskiej Litwie na złość; brzydził się cieleciną i wszystkim, co zaduszone; pościł ostrzej i dłużej, niż każdy inny naród na świecie; wzywał nie Boga, lecz Świętych, Nikołą przede wszystkim, ułatwiających, jak marszałkowie ziemscy, przystęp do Pana; brody nie golił, aby mieć twarz podobną Świętym (bizantyńskim), nie małpom; nosił od niemowlęctwa krzyżyk na szyi, po którym i Dymitra poznawano; nie spał bez pasa; żonaty zmywał się w łaźni nim szedł do cerkwi; dom, zapoganiiony urodzeniem dziecka, kazał oświęcać. Kto to wszystko dokonywał, drobną jałmużnę żebrakom a hojną monasterom dawał, a umierając, do rąk kartę z modlitwą dostawał — złośliwi protestanci Anglicy i katolicy Polacy przez dwa wieki stale twierdzili, począwszy od Chanslora, że to był list polecający kuma, szczerego Rusina, do św. Piotra — już pewien był zbawienia duszy; grzeszyć mógł dowolnie, sama intencya skruchy już wystarczała; lichwa i proste cudzołóstwo za grzech nie uchodziły. Pop żonaty nie wznosił się nad ten poziom, „sromosłowił“ i upijał się jak inni; czerniec mięsa nie jadał, skrzętnie gospodarzył i nauką rzadko się bawił. Obok ascetycznego poglądu na życie, cerkiew żadnego innego nie uznawała, ani dopuszczała. Więc wyklętem, dyabelskiem były i pieśń ludowa i zabawa wszelka i głos muzyki, chociaż na rozwody, cudzołóstwa i grzechy gorsze przez palce patrzano; krój sukien cudzoziemski, krótki,

odslaniający nogi i golenie brody najobmierzlejszem się wydawało; prób naturalnego objaśniania zjawisk przyrodzonych (burzy i t. d.) obawiano się, jako pogaństwa „jellińskiego“, Arystotelesowego. Tem gorliwiej całowano ikony, skrapiano się wodą święconą; kąpano się w dzień Przemienienia Pańskiego; poruszano się w przerebli w dzień kreszczeński i w letnie święcenie wody; wierzono w baśni cudackie, n. p. dlaczego jawno grzesznica Magdalena święta została i t. p.

W taką to atmosferę religijną wkroczyli Dymitr i Polacy, aryanie między nimi i kalwini. Ciągłe konflikta były więc na porządku dziennym; nieopatrzność Dymitra, bezwzględność polska, rozgoryczały i roznamiętniały tłumy niesłychanie; nie dziw też, że rzeź 27 maja takie okropie przybrała rozmiary. Polak był w oczach Moskwy niechrzestnym, jego obecność sama kalala cerkiew, a on na domiar złego w czapce, z orężem i z psem wchodził, siedział podczas „obiedni“ (nabożeństwa) i spał, pochyliwszy się na obrazy; tajono się przed nim z obrzędami, w obawie, aby ich nie wyszydzał; nawet Dymitr od ceremonij ślubnych Polaków z cerkwi wyprosić umiał. Dymitr znajdował się w przykrem położeniu, wstydzil się otoczenia różnowierczego a liczył się z tłumem, lecz zbyt mało. Jadał cielęcinę i umyślnie na dysputę o to wyzywał, co Tatiszczewa omal głowy nie kosztowało; kazał muzyce ciągle przygrywać, na domiar złego ożenił się, nie ochrzcizwszy jej wprzód, z poganką, a potem za mało do łaźni chodził, gorszył nawet sam dzień ślubu, bez względu na święto Nikoły, obrany. Więc wszystko tłómaczono najfalszywiej; przywiózł był perfumier Marsilio z Krakowa kilka „maszkar“, które pod łóżkiem Dymitrowem leżały, lecz bojarowie udali, że to „bałwany tego duszokrajcy, które on za bogi chwalił i nas przymuszać chciał, abyśmy w nich wierzyli“ — jedną maszkarę położono na trupie Dymitra, aby przychodzący widzieli boga jego; machinę, którą on w celach wojennych wybudował, za „ad“ (piekło) podawano na postrach i zgorszenie prawowiernych; że strój huzarski lubił i nosił, tłómaczono wzgardą dla dawnej odzieży i dawnej wiary zarazem. Niebezpieczeństwem też,

jakie niby od Dymitra prawosławiu zagrażało, wydanemu już niby na łup „papie rzymskiemu i Jezuwitom“, poruszali spiskowcy umysły i uspokajali tych, coby Dymitra żalowali.

Jeśli więc nawet prawosławny Dymitr o szkopyli religijne zawadził, cóż należy sądzić o kandydaturach carskich Władysława albo Zygmunta (!!), płodach poronionych dyplomacyi polskiej. Łudzono się w Polsce strasznie; najmylniej wskazywano na Unię litewską, dokonaną niegdyś przez książąt, obojętnych dla prawosławia, opierających się o katolicyzm; broń też, której patriarchy Hermogen r. 1611 użył, wystawiając groźącą zagładę prawosławia, okazała się strasznie skuteczną; prędzej jeszcze możnaby było skaptować władyków i bojarów, lecz lud prosty wzruszyć się nigdy nie dał. Bardzo charakterystycznym też było, że Niemców, jako lutrów i kalwinów, zostawiano przy życiu, Polaków łacinników wyrzynano bez litości; dwaj księża polscy uszli 27 maja z życiem tylko dlatego, że ich „dla ubioru czarnego i golenia punt“ (bródek) za Niemców uważano.

Więc straszny fanatyzm religijny i zazdrosne czuwanie nad nietykalnością prawosławia, utrudniały fatalnie Dymitrowi pierwsze kroki na tronie, a uniemożliwiały z góry wszelkie zakusy polskie; okręt Dymitra, pędzący dotąd pełnemi żaglami, na tej mieliźnie osiąść musiał niechybnie. Ale mieliżn takich, albo i wirów, groziło mu więcej.

---

Zarozumiałość, cechująca „prawosławie“ moskiewskie, nie uznające obok siebie żadnego innego wyznania za chrześcijańskie, cechowała i inne strony życia umysłowego, mianowicie w stosunku do *obcych*; nieuctwo i brak wszelkiej skali porównania, gdyż za granicę nigdy nikt wyjeżdżać nie śmiał, podsycaly tę butę. Naród chępił się odwiecznością, „starynnością“ swych sadyb, jak carowie jego boskim początkiem swej władzy; obcy był mu tylko intruzem, cierpianym do czasu dla wygody, jakiej się po nim spodziewano, trzymanym pod najściślejszym dozorem i grozą. Jakżeż niego-

dnie obchodzono się nawet z posłami duńskimi czy polskimi, jak z „bestyami“, powiada słusznie Cobenzl; strzeżono ich dworu wysoko oparkanionego, że nikt wglądać ani wyglądać nie mógł; nie pozwalano im ani głowy za wrota wychylać; o przechadzkach, zakupnach, choćby najpotrzebniejszej prowizyi, ani mowy nie było; nikogo do nich nie dopuszczano — i „wielcy“ posłowie byli w istocie więźniami. Ktoby mimo tych środków ostrożności z nimi śmiał się porozumiewać, tego kara śmierci czekała. Twierdzą n. p. historycy powszechnie, że Lew Sapieha za poselstwa moskiewskiego (1600 r. i 1601 r.) mógł się już porozumiewać z bojarami o przyszłym wysunięciu Dymitra; w naszych oczach, to po prostu niemożliwe. Pomijamy absolutne milczenie Pielgrzymowskiego — może go Sapieha nie byłby i wtajemniczał wcale w intrygę świeżo uknutą — ale wszelkie poufne zbliżenie się do osoby poselskiej było wykluczone. Umawiano się tylko w izbie „odwietnej“ przy obecności innych Godunowych, a przy „bankietach carskich“ o rozmowie jakiej i mowy być nie mogło. Pozostałyby więc tylko romantyczne schadzki nocne, lecz i w te nie wierzymy, gdyż dzień i noc strzeżono jak najściślej dworu poselskiego. Przeczmy więc kategorycznie, mimo wszelkich pozorów do prawdy, stykaniu się malkontentów z Sapiehą w Moskwie, niemożliwemu już wobec współczesnych prześladowań, jakim Bielski i Romanowi właśnie ulegali, ci ostatni w pierwszych dniach listopada 1600 r., zaraz po przybyciu Sapiehy.

Nieufność i nienawiść ku obcym, zdradzająca się jaskrawo w owem traktowaniu posłów (nawet i angielskich, gdy się na nich gniewano), były objawem stałym. Obcy mógł być aptekarzem i lekarzem — wyłącznie carskim, naród bowiem brzydził się lekami pogańskimi, pigułkami i klistarami, leczyl się znachorami i „banią“ — łaźnią; obcy mógł odlewać działa, budować Kreml, służyć wojskowo — jeśli być Polakiem, tylko przeciw Tatarom, nigdy przeciw „Litwie“, bo mu niedowierzano, tak samo Infantczykom — lecz nigdy nie przestawał być obcym t. j. gotowym każdej chwili na „izmienę“, zdradę. Dlatego też nie wypuszczano go z Moskwy

i łatwiej się było do niej dostać, niż znowu wydostać. Obawiano się, że obcy wyniesie jakieś sekreta, że będzie „przemysłał“ z cudzymi hosudarami na szkodę Moskwy. Grek Maksym i Chorwat Krizanić opłacili też długoletniem ciężkiem więzieniem i zsyłką, że przyjrzeni się nieco porządkom moskiewskim, chociaż tylko tem zawinili, że swe chęci, siły i zdolności Moskwie ofiarowali. Maksymowi nie pomogło ani wstawienie się gorące patryarchów, ani żądanie sultana. Opowiada Massa o „synie bojar skim“, ranionym pod Kromami i zmuszonym odtąd do przesiadywania w domu: on narysował był sobie widok Moskwy; gdy go Massa, którego bardzo lubił, o ten widok poprosił, dał mu go po wielkiem wabaniu się pod przysięgą uroczystą, że nigdy nikomu imienia rysownika nie wyjawia, „gdyż ukaranoby mnie śmiercią jako zdrajcę“ — a był to sobie marny rysunek piórem, bez żadnego znaczenia.

Nieufność ku obcym odnosiła się również ku ich mowie, książkom i nauce. Łatwiej i bezpieczniej było spiskować przeciw życiu Godunowa lub Dymitra, niż uczyć się po polsku lub po łacinie i czytać dzieła w tych językach. Tak opowiadał bojarzyn Gołwin o kalendarzach, które car jako niebezpieczne spalić kazał i o własnym bracie, który od Niemca i Polaka uczył się obcych języków, wpuszczając ich do siebie tylko w przebraniu ruskiem, dla niepoznania. W całej „dumie“ Iwana Groźnego umiał tylko jeden bojarzyn nieco po łacinie, a drugi po polsku.

Wobec takiej pogardy, nienawiści i nieufności ku obcym, jakżeż raziło Moskwę otoczenie polskie Dymitra! Jeżeli już jego prawowierność podejrzewali, chociaż on jawnie ani Jezuitom ani Aryanom u siebie nie sprzyjał, cóż sądzili oni o Domaradzkiem, Buezyńskich, Kazanowskim i tylu innych, rotmistrzach, sekretarzach i paziach Dymitrowych, którym się wszystkiego zwierzał, z którymi „poufale konwersował, onym bezpiecznie mówić pozwalał i za panie bracie w żartach poczynać z sobą nie bronil“. Moskwę, przyzwyczajoną choćby od Borysa do nieprzystępności carskiej, do najsurowszej etykiety, nie dozwalałającej bojarzynowi i sięść wobec

cara, raziło już poufalenie się Dymitra z bojarami, cóż do piero z Polakami. Dostrzegano więc w tem niebawem czegoś osobliwszego, głębokiego zamysłu: szeptano, jakoby car dla większej pewności własnego tronu, władca nieprawy, zamierzał wygubić znaczne rody moskiewskie, Szujskich, Mściśławskich, Massalskich, Golicynych, Kurakinych, Worotyńskich, Trubeckich, zastąpić ich Mniszczami, Stadnickimi, Tarłami. Liczba i uzbrojenie polskich gości weselnych uzasadniały te obawy. „Od kiedyż to na wesele jak na wojnę jadą?“ pytała potrwożona Moskwa. Obawy te i podszepty ułatwiły spiskowcom niezmiernie zadanie, one znalazły w końcu urzędowe sformułowanie, nadzwyczaj drastyczne: najzaufańsi sekretarze Dymitrowi, Buczyńscy, mieli zeznać, że Dymitr zamierzał w niedzielę 28 maja wymordować bojarów, że pod pozorem igrzysk wojennych uzbrojeni Polacy mieli napisać na bezbronnych, Ratomski miał zabić Mściśławskiego, Tarło i Stadniczy Szujskich i t. d., razem dwudziestu bojarów. Zeznania te ogłosił car Szujski Moskwie, w akcie oficjalnym, chociaż ani na chwilę nie powątpiewamy, że zeznania te od *a* do *z* dowolnie zmyślone, że w nich i słówka prawdziwego niema; one ciekawe, jako oficjalne stwierdzenie plotek haniebnych, rozsiewanych przez Szujskiego i adherentów między kupcami i czernią.

Na domiar złego, wyzywali sami Polacy w Moskwie postępowaniem swoim tubyleców. Nie dosyć bowiem, że sarkająca Moskwa, nie bez racji, na trwonienie skarbów i „kazy“ carskiej między sług i krewnych Dymitrowych, że Polacy drażnili ich uczucia religijne wstępowaniem do cerkwi i niezwykłemi, nieprzyzwoitemi ruchami tamże, siedzeniem i t. d., dalej ubiorem (noszeniem krzyżyków poniżej pasa, którym się Moskwa kłaniała), pozwalali oni sobie jeszcze na wszelakie wybryki, n. p. uwodzenie i gwałcenie niewiast. Relacje może przesadzają; niechce nam się wierzyć, żeby Moskwiciniowi, nie puszczającemu żony, ramię Polak odciał i żonę najspokojniej zabrał, lecz że się działy liczne nadużycia, na które Dymitr, acz niechętnie, przez palce patrzył, że wskutek tego naród straszłą nienawiścią zakapiał, dowiodła

rzeń 27 maja, zwrócona nie przeciw Dymitrowi ani katolicyzmowi, lecz przeciw wszystkiemu co polskie. Z góry też, nie przeczuwając jeszcze niczego o knowaniach i spiskach, obawiano się w Polsce zająć przykrych dla niesforności rodadków i propagandy religijnej żarliwej a niewczesnej; stary Bączalski n. p. w dziełku p. t. *Ochrona koronna* (r. 1606) nie bez przyczyny pisał:

Jechali tam (do Moskwy) Polacy z dziwnymi mózgami,  
 Boję się, aby tam w czym nie podrwili sami,  
 A zwłaszcza podnapiwszy...  
 Także Jezuitowie, będąli chcieć nagle,  
 Rozpuszczać w tamtej stronie swoje zwykłe żagle...  
 Bo Moskwa jest gorąca: mów im co chcesz, ale  
 Ich ani tykaj w wierze i t. d.

Polakom, Mniszchom i innym, zawdzięczał Dymitr wyniesienie na tron; oni go też zgubić musieli; ożenienie z Maryną, koronowanie (niesłychane dotąd w Moskwie) carycy-Polki, przyspieszyło wybuch katastrofy. Może się wręcz dziwnem wydawać, dlaczego Dymitr nie zrzucił się z przyrzeczenia (poślubienia Maryny), skoro raz w Moskwie osiadł; zrzucił się on przecież z całkiem innych zobowiązań, przyjętych wobec Rzymu i Zygmunta; obiecywał przecież zawsze i wszystko, aby się potem z dotrzymania wymykać. Nie wiemy też, na jaki karb spełnienie tego zobowiązania odliczyć, czy na lekkomyślność, nie dbającą o nic, charakterystyczną nieraz dla niego, czy na instynkta szlachetniejsze. Nie chodziło tu o miłość, tej hołdował on w Moskwie aż nadto, bezwzględnością w rozpasaniu swem „ojca“, Iwana Groźnego, przypominając; lecz może i Maryna wchodziła w rachubę jego, tak, jak uniwersytety czy akademie i tyle innych rzeczy, będących w planie dla podniesienia oświaty i ogłady moskiewskiej.

Dymitr bowiem, chociaż sam szkolnego wychowania łacińskiego — gdyż innego w Europie nie było — bynajmniej nie posiadał, a cierpliwości i czasu dla systematycznego zapelnienia luki owej mu brakło, pragnął gorąco oświaty i oglądy dla swoich. Obok tryumfów nad wrogami chrześcijaństwa, obok wawrzynów Aleksandra Wielkiego, jakim w próżności i chępliwości swej zazdrościł, nęciły go i zdobycze pokojowe, szerzenie światła, cywilizacji. Dlatego też nie oddalał, niewygodnych zresztą bardzo, Jezuitów; ludzili się on i oni, ci, że coś dla katolicyzmu wytargują, on, że mu i bez takich koncesyj szkołę urządzają — a któraż szkoła była wówczas lepsza od jezuickiej? Potrzeba zaś szkoły, oświaty, oglądy, była piekąca; tylko ten, kto po za kolo zakłete tradycyi moskiewskiej nigdy się nie wychylał, mógł o tem wątpić.

Szkoły nie było żadnej i Borys Godunow nawet czytać i pisać nie umiał, twierdzili przynajmniej jednomyślnie wszyscy cudzoziemcy, chociaż mu to nie przeszkadzało być najrozumniejszym, najwpływowszym koniuszym wielkim, „prawicielem“ (lord - protektor Anglików), a wreszcie i carem. Innym braku wrodzonych zdolności żadna szkoła nie wynadgradzała; więc w „dumie“, do której w pierwszym rządzie ród, nie zasługi, powoływały, poziom umysłowy był bardzo niski; jeszcze Kotoszychin szydził z owych bojarów „dumnych“, co wypiąwszy brody ust otworzyć nie śmieli. Fiodor Romanow w zsyłce wyśmiewał nieuctwo i niezdolność „dumy“, gdzie tylko jeden Bielski sprawy mądrze załatwiać umiał. Dymitr imponować miał „dumie“ bystrością i trafnością sądu i chociaż był tam najmłodszy, zawsze w roli nauczyciela między szkolarzami występował.

Szkoła była tylko początkowa; uczyła pisania i czytania, cerkiewnego głównie, t. j. języka bez literatury, prócz duchownej, teologicznej, ani samoistnej ani głębokiej. Końców i tych początków nie udzielano nigdy. Pojęcia o świecie i przyrodzie czerpano z Biblii, apokryfów i baśni; odwieczna tradycya usuwała wszelkie badania przyczyn; na każde pytanie miała Moskwa jedną odpowiedź „tak jest“, a dla-

czego: „*Hosudar wiedajet!* tak czynili lub wierzyli przodkowie, tak i nam wypada.“ Tem ściślej przestrzegano tradycję i formę i najmniejsze, mimowolne nawet, wykroczenie czy zaniedbanie formy, surowo karano: djaka Kotoszychina, używanego już do misyj dyplomatycznych, wysmagano batorami, gdy w piśmie do Moskwy słowo *Hosudar* po *Wielikij* opuścił (r. 1661); pomylenie się w napisaniu nazwiska (o zamiast *a* i na odwrót i t. p.) dochodzono jako „bezcztje“ sądownie; iście chińska formalistyka przepisowywała i regulowała wszystko.

Brakło wiedzy, brakło i ogłady, towarzyskości. Kobiety sfer zamożniejszych, wyższych, nie pokazywały się nigdzie; monogamia łączyła się z życiem haremowem, zamknięciem. Tylko bardzo poufałym gościom prezentował gospodarz domu żonę. W zabawach i „posiedzeniach“ nie brały one udziału razem z mężczyznami; o wystąpieniu publicznem nie było i mowy. Gdy poseł Jana Kazimierza i carowej hołdy chciał złożyć, udano, że ona niezdrowa — bo jakżeż zdołałaby obcych przyjmować? A gdy car Aleksiej życzył sobie, żeby i carowa ulubioną jego „pociechę“ t. j. komedię zobaczyła, należało wpiery okna zakratować i tak pozastaniać, żeby jej żaden widz nie dostrzegł. Wykluczenie kobiet pociągało za sobą rozpasanie biesiad: przed gośćmi występowały „dworki“, opowiadały i śpiewały, że aż uszy wędły, rzeczy coraz rubaszniejsze; „skomrochi“, grajkowie, obnażali na domiar ciała bezwstydnie. Naturalnie nie znano i tańców, nie rozumiano ich po prostu i dziwowano się, jakto rozsądny, stateczny człowiek może z siebie błazna udawać, rozbijać się po kątach, szukając niby, czego nie zgubił — co innego przypatrywać się takim skokom i susom płatnych od tego błaznów.

Młodzież nie miała sposobności zawiązywania znajomości, pary dobierali więc rodzice za pomocą swach; pan młody nawet nie wiedział co dostaje, nieraz Lię zamiast Rachebi, bo pannę młodą tak zakutywali i zastaniali, że i chromą i ślepą, brzydką i starą, za mąż oszustwem wydawali; inną pokazywali swasze, służącą jaką lub młodszą córkę, inna dostawała się młodemu. Zawiedziony mógł się potem mścić;

„pleć“, knut, był przecież atrybutem władzy mężowskiej i szafowano nim hojnie, nie było bez niego, opowiadano sobie, prawdziwej miłości; o rozwody trudno nie było. Świecki mógł trzy razy ponawiać śluby. Dymitr więc, jako syn siódmej żony Iwana Groźnego, był właściwie dzieckiem nieślubnym, nieprawem i od tronu wykluczonym z góry. Pop, owdowiawszy, przestawał być duchownym świeckim, postrzygał się w czerńcy albo rzucał stan duchowny, „jakby charakter kapłański od żony zależał“, sztydzili obcy.

Carowie żenili się z poddankami, wybierając ze spędzonego tysiąca, jak na Wschodzie u Persów, któraby się najlepiej podobała. Ożenienie Dymitra z Mniszchówną nie było więc bynajmniej mezaliansem; on sam był tylko synem Nagiej. Za to carówny za męż wychodzić nie mogły; za granicę wydawać ich, już dla wiary i braku ogłady, nie uchodziło, a w kraju za „chłopa“ wychodzić nie śmiały, gdyż „chłopem hosudarowym“, Hryćkiem lub Waską był i tytułował się w „czołobitni“ choćby pierwszy dygnitarz państwa, Szujski czy Worotyński (nie pisząc się księciem ani czynem). Borys starał się też dla swojej Kseni i o Zygmunta III, gdy owdowiał, i o Eryka szwedzkiego, i o Jana duńskiego, ale los, sprzyjający mu dawniej stale, od r. 1600 mścił się na nim za wszystkie przeszłe powodzenia, nie się więcej nie udawało, więc i oba swatania zmarniały: nalożnica Dymitra, skończyła Ksenia w monasterze.

Brak ogłady, kultury, przejawiał się, oprócz stosunku do kobiety, i w nieposzanowaniu godności człowieczej, w nieujmowaniu się osobistem za najdotkliwszą obrazę honoru, a najbardziej może w pomiataniu prawdą. Car nawet i w „dumie“ mógł się ręką i „posochem“ (laską) rozprawić z bojarzynem, ten nie śmiał się od razów zastawiać, mógł tylko błagać, żeby „ruczek hosudarskich“ na nim, chłopie niegodnym, nie zmęczył; innych „knucono“ za byle co. Opowiada p. Pielgrzymowski, że gdy Sapięha miał u siebie swoich „przystawów“ (komisarzów, dodawanych posłom do boku) na obiedzie, jeden z nich zaczął prawić niesłychane dziwy o bo-

gactwach, płodach, zwierzach moskiewskich, o ich rubinach, cedrach, lwach; zawstydził się drugi za niego i zganiał mu to:

Poprzestań „płutaniny“, nieuczciwość nasza,  
Gdy o tem mówisz, czego niema ziemia nasza.

Pierwszy, rozniewawszy się o to, do bojar skargę odniósł,

Że mu dano knutami za to do żywego,

lecz gdy ów drugi nań powiedział, co on u stołu nałgał,

Za to sam też knutami wziął czyście po skórze,  
Że go z tydzień nie było na poselskiej górze;  
Potym zaś chromonogi gdy się do nas wrócił,  
Powiadał, że się z sanek przygodnie wyrucił.

Oryentem, tatarszczyzną, trąciła taka poniewierka stanu i wieku; sługa państwa był osobistym sługą, niewolnikiem, „chłopem“ cara. Chępił się z tego i Dymitr wobec Polaków — przynajmniej tak oni to zrozumieli, gdy podczas koronacyi Maryny w cerkwi kazał Dymitr Szujskiemu i innym bojarom wykonywać posługi (podstawiali im ławeczki, wstawiali na nie ich nogi i t. d.), jakiebby król polski od ostatniego pacholęcia nie wymagał. Służalczność bojarska wbijała Dymitra w tym większą dumę i pewność; patrząc na nią, był on przekonany, że ujął już w ręce całe państwo i że bez jego woli nic się nie stanie, więc gniewał się lub lekceważył, gdy go przed spiskami przestrzegano.

Urazy osobistej nikt mścić ani śmiał, ani mógł, przecież z bronią nikt nie chodził po Moskwie — w Kremlu z bronią się pojawić było wielkim kryminałem, za który zaraz na tortury brano. Kiedy się więc jeden z drugim „pomówił“, o pojedynku ani mowy nie było, chyba kulaczkami się w boki albo rękawami po gębie prano. Polakom, rzucającym się do korda, skoro tylko *ad malos verbos* dochodziło, nie-

znoszącym ani poufalego „braciszka“ „jam cały brat, nie braciszek“, z pojęciami o honorze osobistym pogodzić się nie mogła skarga sądowa o „bezcześćje“, a innej drogi nie było; samowoli, „samouprawy“ nie dopuszczano nikomu. Duma moskiewska zachodziła upust przedewszystkiem w tak zwanem „miestnicestwie“, gdzie prerogatyw rodu w zasiadaniu przy uczcie carskiej, w sprawowaniu poselstw, województw i t. d. najsubtelniej przestrzegano; wojewoda n. p. Szujski, którego rodzic głównym korpusem dowodził, nie byłby nigdy przyjął komendy pod jakim sto kroć zdolniejszym Basmanowem, parweniuszem, nie usiadłby też nigdy przy stole carskim niżej niego — włożył raczej pod stół, jeżeli nie mógł ująć pod pozorem słabości do domu, żeby tylko nie dać się „posieść“, nie dopuścić tego afrontu familii. „Miestnicestwo“ działało bardzo szkodliwie, promowało wyłącznie ród, nie zaśługę; dopiero po latach zniesiono je, spaliwszy owe księgi, w których piastowanie urzędów notowano. Za Kotoszychina jeszcze kwitnęło ono w całej sile; przy weselu swem musiał car Aleksy wydać rozkaz, żeby choć na ten raz spory „miestniczestwie“ zawieszono, żeby nikt nie ważył się zawodzić sprzeczki o wyższe miejsca i urzędy. Pomyłka w napisaniu *a* zamiast *o* (Sałytkow zamiast Soltykow) i t. p., niewypisanie „wicz“ w „otczestwie“ i t. d., były równem „bezcześciem“; przezwanie bojarzyna „kniaziem“ (bez wymienienia imienia i „otczestwa“) tak samo; bicia czołem, zjeżdżania z drogi i t. d., surowo przestrzegano.

Gorzej niż w Oryencie i Tatarszczyźnie panowało tu pomiatanie prawdą. Skarżą się na to jednogłośnie wszyscy obcy; zelgać było dla Moskwicina jakby śliwkę zjeść, a wedle siebie sądził on każdego, sam się najspokojniej przyznawał, że zelgał, gdy go wytropiono, i carowi nawet bez obawy mawiał: „Wielki kniazium, caru, gospodaru wsieja Rusi, ty sołgał“. Gdy im to Dymitr, wstydząc się Polaków, zabraniał, pytali: „A jakoż ci mówić, kiedy zelżesz“? Zaręczał Dymitr, że nie da im do tego przyczyny, ale z obu stron nie dotrzymywano umowy. To mówi rozgoryczony Niemojewski, ale to samo u Pielgrzymowskiego czytamy:

Już u dworu, już na wsi, daleko, szeroko  
 Najdieszli w którym prawdę, wylupże mi oko;  
 Jeśli się *in theatro publice* nie wstydzą  
 Nieprawdę rzec, nieprawdą bynajmniej nie brzydzą,  
 I za dworstwo to, za żart, w obyczaj to wzięli.  
 Ja im w niczym nie wierzę, by mi przysiądź chcieli...  
 Zaby jeden drugiego sami się tak strzegli?  
 Nierzkąc innym nie wierzą, sobie nie ufają...  
 Nieprawdę rzec co żywo — więcej nie umięją...  
 Nowina, gdy prawdziwie co Moskwicin powie...

Barbarzyńska przywara ta długo nie ustępowała. Jeszcze Turgeniew żalił się: „łzot russkij czelawiek“, Pisiemski pisał osobne szkice o „ruskich łgunach“ i t. d.

Nadzwyczajna nieufność, podejrzywanie ciągle, że się go chce oszukać, wymuszały na Moskwicinie nadzwyczajną ostrożność, z bojaźni nie wiedział co rzec, nie rezolwował się rychło. W dziwnej sprzeczności z tem stał utarty w Polsce termin „odpowiedzi moskiewskiej“, krótkiej, trafnej, niespodziewanej (n. p. „Gdzieś stracił oko?“ — „Przy nosie“ i t. p.). Niemojewski protestuje też przeciw tej nazwie, bo „jeśli się kiedy prędką (odpowiedź) trafi, dufajmy pewnie że głupia, a i rozmyślna — nie mądra“. Przyczynę małego rozsądku i miątkiego dowcipu upatruje Niemojewski i w tem, że dzieci po większej części chowają mlekiem krowiem z rożka, nie piersiami matki czy mamki „i tak dziecię na bydlęcym pokarmie wychowa a też pospolicie bydlęcy dowcip“ — że to bardzo trafna uwaga, wypróbowano oddawna — istnieją nawet zakazy takiego karmienia, w słusznej obawie, żeby ród nasz nie skrowiał do szczytu. I charakterystyka, jaką Rey daje, nie pochlebna; wedle niego Moskwicin „by sojka w klatce, co szczebiotać umie“, chociaż czasem sam ledwie rozumie, co prawi:

Chłopi są z głupia chytrzy, ale tam prawego  
 Rozumu barzo mało...  
 Coby kogo oszukać, okłamać, oszydzić...

Tak prawią o Moskwie Polacy, ale nie inaczej i inni cudzoziemcy; relacya Fletchera n. p. kończy się słowami następnemi: „Można rzec na prawdę, że od wielkiego do małego Rusin ani wierzy, co mu kto inny powie, ani też sam mówi, coby na wiarę zasługiwało. To czyni ich obmierzłymi wszystkim sąsiadom, mianowicie zaś Tatarom, którzy w porównaniu z Moskwą za uczciwych i sprawiedliwych się uważają“. Herberstein zapewnia, że Moskwicin od obcego wymaga spełnienia każdego danego słowa czy obietnicy, sam się zaś nigdy nie uiszcza, że oszukuje, skoro tylko zacznie się przysięgać i na Boga zaklinać; on zaręcza, że Nowogrodzianie i Pskowianie byli niegdyś najuczciwszym narodem na świecie, że na każdym ich słowie można było polegać śmiało, lecz teraz zaraza moskiewska i ich do szczytu zkażyła.

Chelpliwość Moskwy granic nie znała; drastyczny jej przykład przytoczyliśmy wyżej, ze słów „przystawa“, nie mogącego dość wychwalać cudów i plodów moskiewskich. Czy nie i na ten karb odliczyć należy sławną gadkę o astrańskim „barańcu“, zwierzu-roślinie, powtarzaną począwszy od Herbersteina (z ust szanownego Dymitra Daniłowicza) przez dwa wieki: nasienie, niby dyni, zakopane, wydaje coś podobnego jagnięciu, na lodydze, pożerającego na okół trawę a potem dla braku pokarmu ginącego, z bardzo smaczne mięsem i nadzwyczaj ciekłą skóreczką, którą czapki wkładają. Tak samo chępili się oni z mądrości „hosudara“, z jego potęgi i bogactw niezliczonych, z cudów ich Świętych, Piotra, Sergieja, Dymitra.

---

Nie ponętnemi były i zewnętrzne formy życia, przynajmniej dla obcych, przyzwyczajonych do jakiegokolwiek wykwintności i w codziennym trybie.

Stolica przedstawiała się wprawdzie jako olbrzymia, Anglicy ją z Londynem równali, ale nie była ludną, chociaż cyfry Possevina i Polaków (30.000—50.000) o wiele są za niskie;

„siła w niej placów próżnych“, a każdy dworzec, ogrodzony, wiele miejsca zajmował. Ulic (t. j. rzędów domów) nie było, ani bruku nie znano; drogi były wymoszczone. Zamków ani kamienic Moskwa nie miała, sam klimat zalecał budowlę drewniane, więc wśród dworu stawiano piekarnie, a na nich „świetliczki“, obok kleci rozmaite. Wszystko z drzewa okrągłego, nieciosanego, mchem szpary latając; izby czarne, bez obić, rzadko białe, drzwi niskie, że się schylać trzeba, okna małe i wąskie, z blonek ciełących, zamiast łózek ławy przy ścianach, ikony Świętych w kącie. Budynków murowanych i w Moskwie nie wiele było, prócz kilku w Kremlu (grodzie), kilku cerkwi, kramów kupieckich, wystawionych przez Borysa. Obawa ognia stała, więc dzwony pożarne często się odzywały, i owego 27 maja Dymitra, gdy na głos dzwonów wybiegł, wybuchem ognia uspakajano. Mieszkania były bardzo ciepłe, piece znakomite, do każdego dworu należała naturalnie i „bania“ — łaźnia.

Ubiór Wschód przypominał: na głowie wysokie szłyki, wyłożone marmurkami (lisami czarnemi), pod niemi czapeczki, jałmurki perłowe i złotogłowiowe, suknie długie, żupany, kaftany, giermaki, ferezye, na to lekkie jednoradki, buty czerwone juchtowe; podobne ubrania i kobiet, noszących zresztą długie, na szyję i aż do pasa nieraz spadające „siergi“ (zausznicze); włosów nie pokazywały, panny kosmyki przy uszach z pod szłyka rozpuszczały, zamężne głowę chustami obwijały i na nie czapki kładły; pokazać się z gołą głową (prostowłosą) uchodziło za srom największy. Nad panią swą, Wołochową, gdy jej przed carową, pomawiającą ją o zabójstwo carewicza Dymitra, głowę odarto, zlitował się sługa i włożył na nią swą czapkę, za co natychmiast zamordowano. Kobiety różowały i bielily się okropnie, na palec grubości, czernily oczy, goliły brwi i przylepiały włosy wyżej; mężczyźni od święta oskrobywali głowę, jakby żyli w Starym Zakonie czy w Oryencie. W prężniki i przy uroczystych występach w Kremlu, nakładali bogate, złotogłowiowe szaty, ręce w rękawy włożywszy; którzy własnych nie posiadali, dostawali je z „kazny hosudarskiej“ i po ceremonii oddawali.

Widok „granowitej pałaty“ z setkami bojarów w lśniących tych strojach imponował cudzoziemcom. Na szyję kładli wtedy mężczyźni „ożerelja“ t. j. perłowe obroże, na trzy palce szerokie: „ożerelje“ takie odgrywa w podaniach o zabiciu carawicza Dymitra wybitną rolę.

Ale mniej strój — Polacy przywykali sami coraz bardziej do wschodniego — więcej raził stół moskiewski. Potrawy mięsne przyrządzano bez przypraw, jakich podniebienie europejskie wymagało; chleby i kołacze carskie jeszcze w XVII wieku dawano bez soli, wedle dawnej tradycyi, wszystko przychodziło na stół niemal zimne. Najwięcej było ryb znakomitych, bielugi, łososie, jesiotry; ikrę (kawiar) różnych gatunków i do Włoch już wywożono. Z ptactwa łabędzie wyżej wymieniliśmy, dalej żorawie, cietrzewie, jarząbki, kaczki, gęsi, kury (kapłonów nie znano). Ze zwierzyny łosie, zające, mięso baranie, krowie (cielęciny nikt nie jadł, wołowiny było mało), bydło było zresztą drobne i podłe. Ciasta najrozmaitsze, pierogów i pasztetów z mięsem, serem, jajami co niemiara, korowajów, blinów i t. d. Margeret je bardzo chwali; forszą kuchni moskiewskiej były też rozmaite „juchy“. Pielgrzymowski i Niemojewski podają szczegółowe *menu* obiadów carskich, postnych i mięsnych; o wiele liczniejsze dania wymieniają jednak źródła ruskie. Cóż z tego, kiedy użytku serwet, widelców, talerzy, a nawet łyżek, nie znano. Każdy miał własny nóż i łyżkę, zresztą łapał garścią z misy, talerze robili sobie Polacy z kawała chleba; kości rzucono pod stół albo nazad do misy, albo na obrus. Z kuchni carskiej posyłano codziennie potrawy bojarom i innym osobom; i posłom po audyencyach „żałowano“ do sta potraw „najwięcej z miodem a barszczem, wszystko na złocie, a potrawy takie, że nietylko złotych półmisków, ale nie wiem jeśli i glinianych były godne“. Wety były również nie osoblwsze: cukru głowy całe, powidel „wielkie trąby na misiech“, cynamonu jako najdłuższe laski, chleba białego wielkie bochenki, z miodem pieczone i po wierzchu „patoką“ polane, fruktów żadnych, prócz śliwek i jabłek. Dla Dymitra nawieziono z Polski cukrów rozmaitych i lodowatych. Żona jego zresztą

do stołu moskiewskiego nigdy nie przywykła, nawet dla uwięzionej gotowano u ojca wojewody po polsku. Na obiady moskiewskie Polakom bywało ekliwo i patrzeć, i nie drastyczniejszego, jak opis podróznego „frysztku“ pod Możajskiem, na jaki „przystawowie“ posłów polskich zaprosili (r. 1600) Misa, co już pięć lat jako ją płókano, zajęc spleśniały, podlewę przez chustę brudną cedzono, syn bojarski, sprawując gęś, trzewa z niej włókl zębami, kur pieczony nożem i garścią targano, przyczem się kawałki i pod stół rozbiegały i t. d. — przypominać aż brzydko, „widzieć gorzej było“, wzdycha p. Pielgrzymowski. Duńczyk zapewnia, że nie obrzydliwszego nie widział, jak sposób jedzenia Iwana Groźnego i syna jego. Wobec takiego nieochędóstwa, nie siadali też Moskwa w owych złotogłowiach do bankietu carskiego czy królewskiego:

We Wilnie posłowie moskiewsey nim za stół usiedli,  
Tymczasem ornaty, złotogłów zrzucili,  
Na to miejsce kozuszki bielinne włożyli,  
Prosto jakby dopiro kędy w łaźni byli,

tak samo w Moskwie przy carskim bankiecie „dumni bojarowie“ w bielinnych kozuszkach siedzieli przy Pielgrzymowskim, a przy Niemojewskim w „giermaczkach czamletowych lub sukiennych, aby onych złotogłowiowych nie popluskali“.

Szczegóły uczy, przepyszne kredensy, uginające się pod ciężarem złotych i srebrnych naczyń, przechód kilkudziesięciu par strojnych truckczaszych, noszących potrawy, z głową nakrytą, tylko lekko czołem bijących przed carem, ceremoniał uczy, rozsyłanie przez cara kawałów chleba i czar wina czy miodu pojedynczym dostojnikom, opisywali cudzoziemcy tylokrotnie, że nie potrzebujemy tego powtarzać; nadmieniamy tylko, co już od Iwana Groźnego weszło było w zwyczaj, że po uczie truckczaszy przystępowali do „hosudara“ i każdy z rąk jego po śliwce suszonej lub po parze odbierał, przywołany po imieniu; i syn Godunowa, i Dymitr toż

obserwowali, niby dla nabierania poufałości i dla okazywania swej łaski, chociaż nie im to nie pomogło.

Z napojów wina były „przywoźne“, „angielskie“ i likwory rozmaite, rossolis i t. d.; win używano tylko w słabości, dalej do służby cerkiewnej i do stołu carskiego. Moskwa zadawała się złem piwem, lekkim kwasem, miodami najrozmaitszymi, a najwyższą gorzałkę cenila; „pituszka“ śmierdzącej „prostuchy“ obżerali się nie tylko mężczyźni, ale i biogłowy. Imc. pan Pasek z pewnością nie był wybredny, a przecież szydził z owej prostuchy, co jej źle i powąchać nie tylko pić, a djak pomlaskiwał sobie po tem „winku hosudarskiem“. Pijaństwo grasowało okropnie, mimo kar ostrych, sadzania w turmę i batożenia, i popów za to batożono. W święta przed kabakami leżeli pijani pokotem, inny, przepiwszy w kabaku hosudarskim i koszulę, nago do domu uciekał; po przepiciu brali się znowu do czarki dla „opochmienia“. Ale tylko w prężniki, parę razy do roku, można się było tak solennie uczyć. Zresztą ludzie prości nawet i w niedzielę po obiedzie pracować musieli i tylko klasy uprzywilejowane dowolnie się zapijać mogły.

Rozrywki i zabawy odpowiadały nizkiemu poziomowi życia. Bój na kulaczki był ulubionym widowiskiem, w którym młodzież i do niedawna udział gorący brała — literatura rosyjska posiada iście homerowe ich opisy, n. p. Pomiałowskiego. Zapasy ludzi, uzbrojonych w rohatynę, z niedźwiedziem, były widowiskiem carskim; z niedźwiedziem i Dymitr lubił zapasy, sam nań z toporem uderzając, czego carowie zresztą nie czynili. „Na weselach żadnej dobrej myśli, muzyki, tańców, prócz pijaństwa nie masz, chociaż zwyczaju pić do siebie nie mają“. Za to w szachy Moskwa pilnie grywała, nawet na wozie jadąc. Nie przypadkowo też bohaterowie *Szachów* Kochanowskiego ruskie imiona noszą. Zresztą „pociesznicy, kuglarze i skomorochi-niedźwiedznicy“, biesiadom i zebraniom służyli.

Gościnność przybierała nieraz dziwaczne kształty, n. p. „gdy do ślubu idą albo jadą, kogo potkają, mówią: bije tobie kniaź (pan młody) czołem, chlebem, solą, miodem

(choć ledwie kwas na weselu będzie). Jeźlibyś zaś chciał z zaproszenia korzystać, nie puści cię w dom“. Jeszcze osobliwsze były ruskie podarki, tak, że w Polsce w przysłowie weszły: „ruski dar, podarowawszy odebrać“. I rzeczywiście, już Herberstein opowiada obszernie o darach weselnych, które pan młody albo zaraz oddaje albo zatrzymuje i w takim razie najdalej w przeciągu roku równym darem (wedle taksy urzędowej) nagrodzić musi, inaczej go sądownie pozywają, toż i o wszelkich innych darach rozumieć należy. I o ruskiej przyjaźni nie wiele sądzono — „kamień za pazuchą nosi“, o niej mawiano. O „ruskim miesiącu“ również można wspomnieć, który nie z kalendarzem nie ma do czynienia, bo dawniejszy niż reforma Gregoriańska. „Uparty jak Rusin“ tu też należy, lecz uporem swym Moskwa nieraz wiele utargowała, szczególnie na posłach polskich.

Wobec nadzwyczajnej wystawności dworu carskiego raziło ubóstwo — nieraz pozorne — ogólne. Nie mógł się temu Niemojewski nadziwić: „Czarka srebrna u przedniejszych, ale pospolicie drewnianych używają, a kiedy z guza brzoźowego wytoczona, to już bojarskie dzieło; niedawno nastąpiło, że też już kilka przedniejszych po kilka misek srebrnych mają, futra żadnego kosztownego, szabel i rzędów oprawnych, kobierców ledwieby kilkadziesiąt we wszystkiej ziemi znalazł, ochędóstwa na koni, wielki pan, który cętkę jaką srebrną na uzdeczkę włoży“. Tajono się poprostu w owych czasach i miejscach z bogactwami, zakopywano je, nie wystawiano ich na pokaz, bojąc się rabunku czerni; przytem Iwan Groźny konfiskatami i wojnami kraj rzeczywiście zubożył.

Mimoto zachowywano wszelki ceremoniał; należało do niego, żeby bojarzyn nigdzie się pieszo nie ruszał, chociaż konno wjeżdżać na dwór carski albo przełożonego srogo było zakazano; ztąd nieraz certacye z posłami, gdzie oni zsiadać mieli. Innym służyli zwoszczyki, jadący za taksą; Wańka taksometru nie miał, wiedział przecież najdokładniej, jak daleko gościa podwieść, poczem stawał i znowu płacić mu należało. Wózki i sanki bywały odkryte; największa wy-

stawność, gdy „duha“ pomalowana złotem, a ogonów lisich do niej nawiaza“.

Myśliwstwo odgrywało znaczną rolę, szczególnie na wschodzie i północy, gdzie wszystkie „jasaczne“ narody „jasak“ (daninę) skórkami lisiemi (czarne najwyżej ceniono), gronostajowemi i innemi składały. Najmniej ceniono wilczury, szczególnie grzbietami pomiatano; bobrów używano do obramowywania szat, kobiety futerka kociego chętnie używały, sobole i t. d. w soroki (sztuk czterdzieści) lub dziesiątki składano. Futra te i skórki były głównym przedmiotem wywozu; niemi opędzano dary dla posłów i monarchów, więc dostaje n. p. Lew Sapieha od Borysa „soboli soroków sześć, kun soroków dziesięć, lisów czarnych trzy, bielek (wiewiórek) dziesięć tysięcy, gronostajów tysiąc“. Łowy carskie opisuje Herberstein; z ptaków łowczych najwyżej ceniono krzczota t. j. białozora, przed którym każdy jastrząb czy sokół się umykał; przesyłano go w darze monarchom (n. p. do Persyi, jednego krzczota i Sapieha dostał). Między psami gończemi wyróżniały się znakomite charty, „kurecze“, z włochatemi uszyna i ogonem, nie zbyt jednak wytrwale; gatunek ten po dziś, acz rzadki, istnieje.

Tak przedstawiały się oczom „Litwy“ i cudzoziemców, których wszystkich bez różnicy „Niemczynami“ zwano, wiara i zwyczaj, sposób życia, moskiewskie. Jakież był mechanizm rządowy, poruszający tą Moskwą, jakie jej zasoby i uzbrojenie, w czem kryła się zagadka powodzenia moskiewskiego, przybierającego rozmiary coraz ogromniejsze, coraz groźniejsze dla potęg sąsiedzkich?

Najbardziej odbijała od samowoli polskiej niewola moskiewska. Inne objawy życia moskiewskiego poznawał Polak, osłabione czy spotęgowane, w samym obrębie Rzeczypospolitej; popów wyśmiewał dla nieuctwa, a dziwił się obłudom prawosławnych w domu u siebie; z językiem ruskim

otrząskął się dawno <sup>1)</sup>); brak form i ogłady u Rusi sprzeczał się wprawdzie z jego nawyknięciami, lecz i on sam nieraz grzeszył obojgiem. Czego jednak Polak strawić nie mógł nigdy, co go odpychało, czego nie rozumiał poprostu, to była ta korna uległość Moskwy, to poddanie się woli jednego bez zastrzeżenia, ta bezprawność wszystkich wobec „hosudara samodzięczy“.

Nie przyszło do nich i w Moskwie ani odrazu, ani bez walki i oporu. Napad tatarski i wiekowe jarzmo nie tknęły wprawdzie prawosławia, spłynęły bez śladu po narodzie — tylko w arystokrację wsiąkały pierwiastki tatarskie, w jej krew i obyczaj i pozostawiły zresztą drobne ślady w języku; za to rozbiły one Ruś na Wielką, północną albo Białą i na Małą, południową, wydały tę ostatnią na łup Litwie i Polsce, pomogły skutecznie do wytworzenia się nowego centrum państwowego i przeobraziły do gruntu charakter tej nowej władzy, moskiewskiej, niebawem wielkoksiażęcej, a później i carskiej.

Grozą przejmują nas dzieje starej Moskwy; krwią splamione już pierwsze jej początki, jeszcze przed najściem Bauchana wskazują na przyszłe, gorsze zbrodnie. Straszna szkołę przechodzili wprawdzie naród i książęta, lecz w przejściach tych starły się ostatnie ślady słowiańskiej wolności czy anarchii, a miejsce jej zajął despotyzm orientalny, zdeptał poczucie godności ludzkiej i ubił wszelkie zarodki dążeń nie-

<sup>1)</sup> Znał nawet Polak przyspiewy pieśni ludowej moskiewskiej. Hetman Jan Tarnowski w mowie sejmowej (*Dziaryusz*, str. 196) używa bowiem takiego porównania: „Ale gdy być nie może, więc się temże przedsię bawić, cóżby to było, jeno *moskiewska pieśń tananaj, tananaj, tananaj*, a co pilniejszego omieszkiwać, jedno przedsię o *temże, o temże*“. W dwieście lat później Rosyanin Trediakowskij świadczy rzeczywiście, że w niektórych pieśniach prosty lud używa tych nieznaczających słów: *zduninaj najna zduni*, a nawet w cerkwi podczas wigilij przy śpiewaniu Psalmu 103 zamiast „hahakania“, śpiewano: *aj neńaj ani nu unani*, jak jeszcze w Psalterzu druku wileńskiego z r. 1576 widzieć można. Na słowa Tarnowskiego nie zwracano dotąd uwagi.

zawisłych. Uległość korna wobec Hordy, okupywanie stanowiska książęcego nie tylko haraczem, lecz zdradą, wydawaniem braci własnej przy ubieganiu się o łaski chańskie, bezwzględne a zarazem ostrożne dążenie do władzy i szerzenie jej kosztem słabszych lub szlachetniejszych, lecz porywczych i krótkowidzących współzawodników, nakładanie coraz nowych ciężarów na lud, znoszący wszystko wobec grozy tatarskiej, stopniowe uwalnianie się od wszelkiej odpowiedzialności, wzmaganie się poczucia władzy, woli niezłomnej, żelaznej konsekwencji, wyrobiło despotów na tronie, a niewolników u dołu. Duchowieństwo, hamujące przedwczesne zapędy książęce ku niezawisłości, później, gdy się Horda waśniami sama przeżyła, do walki przeciw niewiernym nawołujące, było dzielnym sprzymierzeńcem władzy świeckiej; przesiąknięte coraz nowymi domieszkami żywiołu bizantyńskiego—przez Greków i Słowian południowych—przygotowywało i ono rolę pod posiew cesaropapizmu, który tak bujnie niebawem wschodzić poczyna. I spływają się w Moskwie Iwanów Wasiliewiczów despotyzm tatarski z autokracją bizantyńską i giną w falach krwi i płomieni ostatki jakiegoś możliwego oporu. Dawni książęta udzielni zjawiają się odtąd na dworze moskiewskim jako słudzy wielkoksiążęcy; typowym staje się i „odjeżdżyk“, t. j. wychodźca z Litwy, Giedyminowicze i inni, co dla więzów wiary i języka przesiedlają się do Moskwy, rywalizując z Rurykowiczami, a niebawem i z potomkami murzów tatarskich (jak Godunowie) o wpływy i łaski na dworcu kremłowskim. W strasznych kaźniach Groźnego przeredzają się szeregi „starynnego bojarstwa“; nie ród, nie majątek—łaska carska wyznacza odtąd miejsce, a w końcu spadają wszyscy w szeregi niemych chłopów hosudarskich, nie znających żadnej inicjatywy ani woli własnej, rządzących się nie prawem ani sumieniem, tylko ukazem carskim.

Dwojaka ztąd konsekwencja uderzała Polaków, wstępujących w granice moskiewskie. Wobec równej zawisłości wszystkich, i „bojarzyn dumny“ nad chłopem własnym przewodzić nie mógł bezkarnie; mocniejszy nie zawsze mógł uciskać słabszego; każda ważniejsza sprawa sądowa między

panem a sługą nawet szła przeciw do Moskwy, a „prikaz“, mimo wszelkiego przekupstwa, dawał jakieskolwiek gwarancje sprawiedliwości, gdyż sprawa mogła się i o cara otrzeć, a wtedy nieprawy sędzia tracił wszystko. Otóż ze słusznym tryumfem odpierała Moskwa przechwałki polskiej wolności: „My jej ani nie chcemy; u nas choć jeden pan nad wszystkimi, a u was każdy mocniejszy udręcza słabszego“. Druga konsekwencja była jeszcze silniej w oczy: nie było przegrady między carem a jego „chłopami“, nie było istotnej władzy u ludzi przy tronie, u starszych narodu, nie mieli oni woli własnej i skoro tylko cara albo jego woli nie stało, sama czerń brała górę, stanowiła o wszystkim. Ileż to razy powtarza n. p. Niemojewski, albo inni pamiętnikarze polscy te uwagi o przeważnem znaczeniu czerni, jak jej gwoli zszadzają „starostów“, jak z nią się liczą <sup>1)</sup>; despotyzm od góry stykał się z despotyzmem od dołu; chwiejność tłumu, poddawanie się lada podszeptom, obok tego poczucie siły, wytwarzały czynnik bardzo niebezpieczny i kolejno doświadczali Godunowie i Szujscy zmienności, nieobliczalności a wszechpotęgi czerni.

Arystokratyczna a raczej oligarchiczna Polska i autokratyczna a względnie i demokratyczna Moskwa nie rozumiały się nawzajem i rozbijały, rozpasany indywidualizm szlacheckiej Polski ani nie przeczuwał niebezpieczeństwa, grożącego mu od państwa, którego wszystkimi siłami jedna jedyna wola kierowała. Siły te bowiem na razie przedstawiały się dosyć niepozornie; zbyt lekko też Polacy je osądzali. Dzielili oni w gruncie wszyscy zapatrywania, które — rozżalony i rozgoryczony zresztą — Niemojewski, dosadnemi słowami wyraził: „U barbarów, u ludu na świecie podobno najpodlejszego, najgrubszego i do boju najniesposobniejszego, we wszystkim aparacie wojennym (prócz trochę dział) niedostatniego, w dziele rycerskiem niewyćwiczonego, których

<sup>1)</sup> N. p. „po wszystkim gospodarstwie musi każdy chłopstwu dogadzać dla Hosudara“. Niemojewski, str. 164 i t. p.

nie zamki ani miasta (bo ich nie mają), nie męstwo ani dzielność (bo to tylko z ćwiczenia przychodzi), nie rozum (bo przyrodzonego natura nie dała, a o ćwiczonym nie slyszeli), nie bogactwa (bo żadnych nie masz, prócz trochy kosmatego towaru, którego do nas samych odbywają, co w mocy naszej mamy), pomocy i posiłku od żadnego narodu na świecie, żołnierza znikąd — cóżby nam trudnić mogło, nietylko pomsty wydarcia swego (co tak długo z wielką sromotą ten osad ludzkości trzyma), *ale i włożenia jarzma na to bydło zdziczałe? Sama tylko nędza, taby ich ochronić mogła, ale i ta za dostatki naszymi i przygotowaniem wojennem (!) nie mogłaby nam być ciężka; a potem (po krótkim trudzie a pewnem zwycięztwie, przy wielkiej sławie, niewolnikami pracując) — nie lada potęga, rozprzestrzenienie granic!... O ospałości i nieczułości narodu naszego, któryś przez taki wiek cierpiał tak podłego a hardego nieprzyjaciela!*“

Przytoczyliśmy przydłuższą tyradę Niemojewskiego, malującą krótkowidztwo polskie, lekceważenie nieprzyjaciela, zarozumiałość butną, popychającą setki rycerstwa do szukania łatwych zdobyczy między tymi „najpodlejszymi barbarami“, a kończącą się własną ruiną.

Państwo moskiewskie przechodziło w istocie niebezpieczną kryzys, z której wybrnęło szczęśliwie, dzięki energii mas ludowych, niezdających się już dla wiary samej na kompromisy bojarskie z Polakami, dzięki słabości i nieporadności polskiej i szwedzkiej, a szczególnie dzięki owemu sztucz-nemu antagonizmowi, stworzonemu przez fatalny wybór Wazy między Polską a Szwecyą; co bowiem Moskwę zgnieść miało, stało się dla niej zbawieniem. Środki jej samej oddawna nie odpowiadały nowym wymogom; ciężary, jakie wojny Iwana Groźnego narodowi nakładały, przechodziły jego siły; stan ekonomiczny podupadał stale, strasznie zmniejszał się, wedle kontroli angielskiej, wywóz produktów, nawet leśnych; wzrastające zubożenie i rosnące ztąd niezadowolenie ludu, wypychało go z dawnych siedzib, parło na granice, szczególnie południowe, od stepów, i czyniło go bardzo przystępnym dla

wszelkich możliwych ruchów, przygotowywało grunt wszelkiemu samozwaństwu.

Przypatrzmy się też jeszcze nieco tej sile wojskowej i finansowej, zasobom i ładowi państwa moskiewskiego.

Do niedawna różniło się wojsko moskiewskie od tatarskiego nie wiele; konnica, licho uzbrojona, w same łuki i włócznie, z dzieci bojarskich (szlachty) i z sług bojarskich wystawiona, tworzyła główną siłę; od cudzoziemców przejęto działa i przystąpiono do organizacji piechoty, zbrojnej w piszczele i samopały, strzelców. Inna piechota, z czerni, ciągnęła działa, a co zbywało, szło za jazdą „z berdyszami albo z kijmi, kolkę jaką albo gwóźdź na koniec wbiwszy, albo z samostrzałami, drudzy na rzemieniu kości sztukę albo żelaza uwiązawszy nieśli“. Potykali się sposobem tatarskim; gonili, gdy im kto uciekał, albo uciekając strzelali z luków; do sprawy w wolnem polu byli niezdatni; za byle jakimi okopami zaś bronili się do ostatniego i twierdz nie zdawali nigdy — doświadczała tego Polacy ku największej swej stracie pod Połockiem, Pskowem, a cóż dopiero Smoleńskiem. Ciężary wojenne ponosił cały naród; i mieszczenie „z posadu“ i chłopi z sochy albo „wyci“, nawet z posiadłości monasterskich, wyprawiali pewny kontyngens; służba wojenna, acz licha, była ogólna i nie przebierały się zasoby jej rychło; imponowała ona przedewszystkiem liczbą, coraz nowe zastępy wyrastały jakoby z pod ziemi. Siły finansowe były słabe; zbyt produktów rolnych i leśnych podlegał wahaniom znacznym; najbardziej cennym bywały futra, „soroki“ (czterdziestki) sobole i lisie, lecz i te należało coraz bardziej od wschodu, z „jasaków“ (danin) sybirskich wybierać. Monopol wódeczany, wydzierżawianie kabaków, cła kupieckie, podatki w naturze i groszu, opłaty sądowe, stanowiły dochody; rozchód zaś, prócz upominków tatarskich, przeznaczal się głównie na płacę, „pożalowanie“, wszystkim urzędnikom, bojarom, synom bojarskim i strzelcom; za służbę dawano i ziemię, „pomiestia“, której było pod dostatkiem; ziemię własną, ojcowiznę, posiadali głównie książęta, niegdyś udzielni. Znaczenie każdego zależało coraz bardziej od „sanu“, godności; ród

mógł i od Ruryka się wywodzić i liczne dobra posiadać, lecz jeśli członkowie jego nie wchodzili za młodu w służbę osobistą carską, pałacową (spalników i t. p.), a później nie zasiadali między „bojarami dumnymi i okolniczymi“, ustępował on przed kreaturami wielkoksiążęcemi, coraz częstszemi między „dworcową znatią“, dygnitarzami pałacowymi.

Oplakanemu stanowi finansów odpowiadał podobny stan sądownictwa; praw pisanych nie było; krótki „sudiebnik“ Iwana Groźnego tylko taksy wiu i porządek pojedynków sądowych określał; z Moskwy naznaczano wojewodów, urzędników cywilno-wojskowych z diakami, pisarzami, do miast, wykonujących mniejsze sądownictwo, wybierających podatki, stojących na czele coraz drobniejszej organizacyi; przekupstwa i zdzierstwa były na porządku dziennym.

Głębiej jednak nurtowały inne zła. Pozornie było państwo moskiewskie jednolitem; niewzruszona karność i dyscyplina szły od wierzchu na sam spód; jedna wola trzęsła wszystkim. W istocie zaś ta jednolitość — prócz rzeczy wiary — zbyt daleko nie sięgała. U dworu samego rody znakomite ani niezawisłej przeszłości zupełnie nie zapomniały, ani nie godziły się na ustępowanie przed nowymi faworytami; zagłuszone na razie ciosami Iwana Groźnego, czekały one tylko stosownej chwili, by ster rządów w własne ręce uchwycić, a chwila taka niebawem nadejść miała. Mimo trzech synów, nie zapewnił Iwan Groźny trwałości dynastyi; jeden z nich umarł jeszcze z ręki ojca, drugi, Fiedor, był ascetą niedołącznym i słabym, a trzeci, Dymitr, splodzony z nieprawego właściwie, bo siódmego małżeństwa — cerkiew tylko „brak“ pierwszy i drugi błogosławiła, już trzeci uchodził za anomalię — przy śmierci ojca był dzieciątkiem. Więc natychmiast po śmierci Iwana Groźnego zanosi się na burzę pałacową, na walkę między faworytem carskim, Bielskim, któryby w imieniu Fiedora czy Dymitra sam rządził, a partya przeciwną, około Fiedora i szwagra jego, Borysa Godunowa, zgrupowaną. Bielski uległ, ale tarcia nie ustawały; Borys, dążący coraz konsekwentniej do jedynowładztwa, zamyśla powoli o usunięciu wszystkich, którzyby mu drogę zastąpić mogli, mianowi-

cie Nikiticzów (Romanowych), z których rodu Iwan Groźny wybrał był pierwszą małżonkę, i Szujskich, którzy od dawniejszego pogromu za Groźnego już ochłonęli; inni, Mściślawscy n. p., na razie groźnymi nie byli. Przedewszystkiem sprzątał on ostatnie odrośle rodu carskiego <sup>1)</sup>; nawet ów carzyk tatarski, Szymon Bekbułatowicz, chan kasimowski, ożeniony z Mściślawską, któremu Iwan Groźny narzucił był rolę samodzięcy na krótki czas (r. 1575), nie uszedł jego ręki. Mimo to nie czuł się Borys bezpiecznym, obawiał się „izmieny“, zdrady, a przedewszystkiem „kołdowstwa“, czarów, któreby na niego śmierć lub chorobę zesłały — obawa w Moskwie ogólna a bardzo jeszcze prymitywna, bo i przed „wyjmowaniem śladów“ i przed „koreszkami“ (korzonkami) i przed zamawianiem lub urokami truchlejąca, wystrzegająca się publicznego używania imienia chrzestnego, aby niem na właściciela się nie targnięto, podstawiająca zamiast tego, imię inne.

Sytuacya się nie polepszyła, gdy po bezdzietnem zejściu Fiedora i wygaśnięciu linii Iwana Groźnego, Borys nakoniec, uproszony od narodu i duchowieństwa, a błogosławiony od siostry-wdowy carskiej, tron osiadł. Owszem, względy, których za Fiedora przestrzegać musiał, nie kępowały go więcej, a obawa o ustalenie swej dynastyi — przy trapiącej go, silnej niemocy zdrowia — pobudzała go do coraz sroższych prześladowań. Już Eliaszy Pielgrzymowski, pisarz W. Ks.

---

<sup>1)</sup> Nie zapomniał podejrzliwy Borys nawet o dalekiej kuzynce Iwana Groźnego, nieszczęśliwej Maryi Włodzimierzówniej, wdowie po Magnusie Duńskim, którą Groźny za „królika inflanckiego“ był wyswatał, a Batory w Rydze w honorowym więzieniu trzymał; wydano ją z córeczką rządowi moskiewskiemu; córeczka umarła (otruta, jak naturalnie twierdzono), matkę wtrącono do klasztoru. Wspominamy o niej, aby i przy tej sposobności kłamstwa Horsey'a napiętnować, który cuda opowiada o sobie, „Helenie“ i biskupie Radziwille, namiestniku królewskim w Rydze; warto zarazem podnieść, że to pierwszy przykład owych od czasów Piotra W. stałych ślubów małżeńskich Romanowych z protestantami; Piotr W. powoływał się wyraźnie na ten precedens z czasów Iwana Groźnego.

Lit., który z Sapiehą i Warszyckim poselstwo r. 1600 do Moskwy odprawiał, pisze po powrocie: „Kniaź wielki dzisiejszy dopadłszy stolicy, do której prawo innym służyło (w których wytruł jednych, wygubił, wymordował, drugie więzieniem zamorzył)... poddanych ma jeszcze nieźyczliwych wiele, zkad srogości przeciw nim niemiara, a niemal co dzień to większe; zaczem nieufność taka, że niestąpi Moskwicin, nad którymby dwóch, trzech szpiegów nie było... nie trzeba wątpić, w lada dzień *mutatio* tam być musi. Wilk jeden, co go w nogę trapi, nabawi tych wilków, co go pobiedzą. Czarów pelen, bez czarownic nie pocznie bynajmniej, tych radą, nauką żyje, tych słucha“ i t. d. Pod dniem 1 listopada 1600 r. notuje też p. Eliasza, że nagle Borys zachorzał, aż o zdrowiu jego zwątpiono, „bab, czarownic zewsząd przybawiono, tymczasem Nikiticzów i Szujskiego gwałtem jednych na zamku do turmy porwano, drugich ogniem i strzelbą z gospód dobywano“. Jest to szczegół bardzo ważny; wobec tego, że stale pomawiają Sapiehę o konszachty z bojarami przeciw Borysowi, pokazuje się, że już w kilka dni po przybyciu poselstwa do Moskwy katastrofa Romanowych spotkała, że się chyba przy ścisłym nadzorze, jakim posłów niby więźniów otaczano, na tajne znoszenia nie łatwo kto odważył.

Tak ścierały się w Kremlu partye i ludzie; właściwy materiał palny zbierał się jednak u dołu. Warunki ekonomiczne wyrobiły na Rusi moskiewskiej z czasem bardzo wydatne różnice między północą, centrem a południem. Północ, której ani napady tatarskie nigdy nie sięgnęły, ani wojny polskie i szwedzkie nie pustoszyły, rozwijała się, mimo niekorzystnych warunków klimatycznych, swobodniej; w owych koloniach, niegdyś nowogrodzkich, większej własności prywatnej (prócz monasterskiej) nie było; muzyki prowadzili handle, trudnili się rybołówstwem, ucisku nie było, na panów nie robiono, naród nie rozpraszał się, skupiał zasoby i siły, które później Moskwę ratować miały. W pasie środkowym jałowiała ziemia; muzyk, pracujący w małym „pomiestiu“ na pana i na cara, nie podoływał wymaganiom, a ponieważ do ziemi „zakabalonym“ nie był, uchodził do dóbr mo-

nasterskich lub bojarskich, gdzie ucisk był mniejszy, a przede wszystkim na urodzajne południe. Z upadkiem tatarskiej przewagi zmieniały się bowiem na stepie stosunki: coraz dalej sięgały linie warowne w głąb stepów; trzymając się niegdys trwożliwie brzegów Oki, posuwały się one teraz szybko ku Donowi i Dnieprowi; naprzód wyruszał „strzelec“ i „człowiek posadzki“, tworzący załogę nowego grodu, „posadu“; później ściągali rolnik i żywił niebawem załogę, dla której przedtem żywność carską zdala podwozić musiano. Tak wrzynały się miecz i pług moskiewski coraz dalej w czarnoziem, zaludniała się coraz bardziej Siewierszczyzna, obok ziemi Rjazańskiej, właściwy śpichlerz Moskwy. Ale południe wabiło nie tylko rolnika; jak w Polsce na Dniepr, między „Czerkasy“, uchodziło co burzliwsze i niesforniejsze, tak kozakowano i nad Donem i niesforność tego żywiołu udzielała się ruchliwej Siewierszczyźnie aż nadto. Stan ten, wysiedlanie się chłopów z pasów centralnych, opuszczanie drobnych właścicieli, przenoszenie się do własności większej, wzajemne odwabianie sił roboczych, groził w końcu ruiną drobnej szlachcie, jądra owego „służebnego stanu“ wojskowego. Rządy Fiedora i Borysa chwytają się więc środków zaradczych; zabraniają przyjmowania luźnego chłopstwa, przytwardzają je do ziemi, lecz wznieczają temsamem inne niezadowolenie. Na domiar złego trapił ciężki głód nowe państwo Borysa; ofiarność Borysa, paraliżowana przez niesumienność władz, nie usuwała klęski; niezadowolenie rosło, odpowiedzialność zwalano na hosudara, nie przyrodniego, intruza. Wobec prześladowań w stolicy a niesforności na południu, nasuwały się same przez się plany o jakimś ruchu przeciw Borysowi; chodziło już tylko o hasło, jakie między czeru rzucić należało, a hasło takie znalazło się niebawem najnaturalniej w świecie: myśl o wygaśnięciu świątobliwego rodu carskiego, czoła prawosławia, ulubieńca Bożego, nie mogła się w głowach ludu pomieścić; rodu Włodzimierza „równopostolskiego“ nie mógł mu zastąpić koniuch tatarski; ród ten, jedyną rękojmię szczęścia prawosławia i Rusi, choćby z umarłych wskrzesić należało koniecznie. I wskrzeszono go rzeczywiście.

W dalekim od Moskwy Ugliczu, nad Wołgą, przekazanym mu od ojca, Iwana Groźnego, rezydował przed laty mały Dymitr, syn Nagiej, z matką i jej braćmi. Stosunki między dworkiem uglickim a Kremlem moskiewskim były naprężone, bo chociaż przeciw przyrodniemu bratu „bezumny“ Fiedor żadnej nie żywił zawziętości, tembardziej Godunow Dymitra się obawiał: i cóż z tego, że małżeństwo Groźnego kanonicznem nie było — rozgrzeszaliż metropolici, a teraz już patriarchowie moskiewscy od całkiem innych rzeczy.

Nadzy, usunięci zupełnie od rządów, widzący do czego wszystko się skłania, kipieli nienawiścią, chociaż się powstrzymywać musieli, gdyż Borys i w Ugliczu miał sług wiernych, którzy o wszystkim donosili. Od nich wiedział on, że mały Dymitr podzielał uczucia stryjów i matki, że odgrażał się władcom moskiewskim; już wcześniej odzywała się w nim natura Iwana Groźnego, mawiano nawet o budzeniu się krwiożerezych instynktów w chłopięciu. Lecz nietylko usposobienie odziedziczył Dymitr po Groźnym.

Od ojca, podeszłego w latach, o zupełnie rozstrojonym i wyniszczonym organizmie fizycznym i psychicznym, przejął mały Dymitr zarody ciężkiej afekcyi nerwowej, epilepsyi czy histeryi. Na przypadkach tej choroby osnuł może Borys swój plan zbrodniczy.

Dymitra musiał on się pozbyć koniecznie. Wszystkie tak mądrze i konsekwentnie stawiane kroki chybiały celu, skoroby tylko Dymitr przeżył Fiedora. Bo wiedział Godunow, że między synem Iwana Groźnego a koniuchem tatarskim naródnym ani na chwilę wyboru by nie dopuszczał, że samo imię tradycyjne zgmiotłoby śmiałka, któryby się targnął na insygnia Monomacha, gdyby żył jeszcze choćby i najdalszy potomek jego. Wiedział on również, jaki los jego i ulubioną rodzinę (syna Fiedora i córkę Ksenię) oczekiwał, gdyby Dymitr choć na chwilę w Kremlu osiadł — w najlepszym razie zsyłka, jeżeli nie kaźń lub znęcanie się nad żywymi. Więc dzień i noc musiał o tem myśleć, aby Dymitra w taki sposób zgładzić, żeby samemu nie zdradzić się, ująć nawet wszelkiego podejrzenia zabójstwa. Umyślnie taki nacisk na to kładziemy,

gdyż z najkompetentniejszej strony chciano epizod z Dymitrem, jako w karyerze Godunowa mało znaczący, na bok odsunąć; nie mówimy o tych, którzy ogółem udziału Borysa w zabójstwie nie dopuszczają.

Rzecz była trudna; o jawnym gwałcie nie można było i myśleć — Ugliczanie stali murem nad swoim księżciem — a od „przypadków“ strzegł baczny nadzór matki, więc o przejazdach n. p. po Woldze lub o uniesieniu końmi, nie było mowy; i trucizna się do celu nie nadawała. Miał wprawdzie Borys w osobie wdowy Wasylisy Wołochowej, dozoreczyni Dymitra, powolne sobie narzędzie, wraz z jej synem Osipem; lecz gdy z każdym rokiem wzrastały trudności, zmienił na koniec Borys, aby przyspieszyć rozwiązanie trapiącej niepewności, zarząd uglicki i wysłał tam zaufanych swoich, dyaka (pisarza) Michała Bitiagowskiego z synem Danielem i Nikitą Kaczałowym, wszyscy krewni Wołochowych. Wnet też nastąpiła katastrofa.

U ośmioletniego carewicza powtórzył się we środę 12 maja (1591 r.) napad epileptyczny czy histeryczny; napady wracały miesięcznie, tak, że każdy peryod epileptyczny trwał przez kilka dni, poczem dziecko do zdrowia wracało. W piątek polepszyło mu się, carowa-wdowa wzięła go z sobą do cerkwi do „obiedni“, a potem pozwoliła mu przechadzki na podwórzu; to samo było i w sobotę 15 maja; żegnanie obrazami i pożycie chleba „maryjnego“, t. j. poświęcanego, były przecież najskuteczniejszymi lekami i prezerwatywami. Nie pomogły one tym razem, gdyż tejsze soboty, w samo południe, na podwórzu, w nieobecności matki, powtórzył się napad i mimo licznego otoczenia, carewicza życia pozbawił.

Znajdowała się na podwórzu cała assistencya żeńska Dymitra, pokojowa Wołochowa, „pościelnica“ Kołobowa i „kormilica“ (mamka) Tuczkowa, a bawił się carewicz z przydanymi mu towarzyszami, chłopiętami Kołobowym, Tuczkowym, Krasieńskim i Kozłowskim. Bawili się chłopcy „swajkami“ w „tyczkę“ (szwajca, po polsku, narzędzie ostre, szydło niby albo nożyk; rzucano niem przez linię do dołku w ziemi lub do pierścienia), gdy nagle carewicza kurcze porwały i rzu-

cily o ziemię na nożyk, trzymany w ręce. Przebił nim sobie Dymitr szyję i tarzając się dłuższy czas w kureczach, dokonał zycia.

Pobiegł Kołobow, najstarszy, na górę, aby nieszczęście oznajmić; wybiegła matka, przybiegła i Wołochowa, przedtem nieco oddalona od miejsca zabawy. Matkę nieszczęśliwą porwał na widok trupa syna szal wściekłości; uchwyciła polano i biła niem Wołochowę po głowie, aż do rozbicia jej, jak Wołochowa potem skarżyła. Wrzask przeniósł się na ulicę, zbiegał się tłum z rohatynami i mieczami, aby bronić carewicza, zaczęto w soborze spaskim dzwonić na gwałt. Nadzy, bracia carowej, Michał i Grzegorz, przybiegli na dzwonienie z dworku, gdzie razem obiadowali właśnie; Michał, pijany jak zwykle, na koniu, Grzegorz trzeźwiejszy, na krzyk siostry począł również Wołochowę polanem okładać; na wielki „szum“ ten wybiegł i dyak Bitiagowski, który właśnie u siebie z synem Danielem i popem Bogdanem, duchownym Grzegorza Nagiego, obiadował, myśląc, że to pożar wybuchł; na ulicy dowiedział się, że carewicza „nie stało“, wpadł na podwórze, gromiąc ludzi po drodze, dla czego się z bronią ku pią, lecz okrzyczeli go Nadzy, Marya i Michał, jako zabójcę Dymitra; próbował on wprawdzie uśmierzyć tłum rozjuszony, lecz miarkując niebezpieczeństwo, uszedł do domku na podwórce i zamknął się. Tłum drzwi wyłamał i zabił dyaka Bitiagowskiego i Tretiakowa, rzucił się potem na dom dyaka, zamordował tu syna jego i Kaczałowa, a wywłókl żonę i córki i Osipa Wołochowa; Osipa tego dobito w cerkwi u nóg carowej. Ofiar padło razem czternaście; zabijała czeru „posadzka“ i kozacy nadbiegli z okrętów. Jeszcze tego samego dnia pechnął ktoś gońca do Moskwy; tu złożono natychmiast komisję, która zaraz we środę (19 maja) wieczór w Ugliczu śledztwo rozpoczęła. Oryginał protokołu, z własnoręcznymi podpisami świadków po każdym zeznaniu, dochował się do dni naszych z drobnem uszkodzeniem na początku i końcu.

Na komisję mógł się Borys spuścić; składali ją: oddana kreatura jego, okoliczny Klesznin, krewny po żonie (córce najstraszniejszego zbira Iwana Groźnego, Skuraty Malutowa), dyak

Wyłudzin, posłuszny „naczalstwu“; w asystencyi duchownej figurował krutycki metropolita Gelazy, poplecznik Godunowa, jak całe duchowieństwo z patriarchą Hiobem na czele; podejrzenie o stronniczość miał usuwać przewodniczący komisji, z rodu rywalizujących z Godunowem książąt suzdalskich, Wasyl Szujski, nędzota moralna, dbały przede wszystkim o całość skóry, przytem niesłychanie ambitny, azyatycko przewrotny, a zawzięty wróg każdej nieco niewygodnej prawdy. Dla Wasyla sytuacja była jasna: Dymitra wskrzesić nie można, więc należy Nagich, jako już niepotrzebnych, rzucić, a zaskarbić łaskę i ufność wszechwładnego a podejrzliwego szwagra carskiego, który świeżo straszną katastrofę na Szujskich sprowadził. W tej myśli pokierowali on i Klesznin śledztwem; Szujskiemu miało ono reputację oddanej wierności ustalić. I rzeczywiście śledztwo to jest wzorem, jak śledztwa prowadzić nie należy; formy zachowane wszystkie, o autentyczności zeznań i podpisów ani wątpić nie można, a przecież prawdzie kark utracono.

Przedewszystkiem nadano śledztwu osobliwszą cechę; ustanowiono ją w Moskwie, program wykonano w Ugliczu, a sformułował go najwyraźniej sam patriarcha przed synodem, gdy im dyak Wasyl Szczelkałow (wtedy również jeszcze poplecznik Godunowa), akt śledczy odczytał: śmierć Dymitra, to tylko zbieg nieszczęsnych okoliczności, to dopuszczenie Boże, które nam bez badania i szemrania przyjąć należy; zabójstwo zaś Bitiagowskiego i towarzyszy, to gwałt, niesłychany dotąd nigdy w ruskiej ziemi (!), to straszna „izmiena“, zdrada państwa i niema tak srogiej kary na świecie, którejby Nadzy i Ugliczanie nie zasłużyli za ten straszny bunt. Programu tego trzymała się komisja ściśle.

Jeśli przy pożarze jakim wszechłyby się rozruchy, rabunki, morderstwa, każdy zeznający zacznie mimochodem od wzmianki o pożarze i przejdzie natychmiast do głównego, do roli, jaką sam w tym rozruchu odgrywał, albo u innych dostrzegął; o ogień, czy się wszczął przypadkowo, czy go kto podłożył, nie pytają. Tak i tutaj: każdy świadek, choćby i wiorstami za Wołgą był, zaczyna od tego, że carewicz „nie

stało“, a potem opowiada głównie, jak to mordowali dyaków. Śledztwo zostawia nieco na uboczu fakt śmierci, a tropi głównie fakt zbrodni Ugliczan; „bezumnemu“ Fiedorowi musiał wystarczyć traf nieszczęśliwy z Dymitrem, za to nad miastem, wiernie carewiczowi oddanem, wzięto straszną pomstę, kaźniami i zsyłkami; od tych dni niszczył też Uglicz do szczytu i na zawsze.

Obok zbrodni Ugliczan, wyjaśniła komisya jeszcze inną rzecz: słabość Dymitra. Musieli jej o niej prawie wszyscy, i ci, co Dymitra otaczali, i ci, co tylko gdzieś kiedyś o niej słyszeli; gorliwość komisyi w zbieraniu tych świadectw aż podejrzaną się zdaje. Zadowolają się przy tem gołosłownem konstatowaniem, bliżej słabości nie opisują, lecz kilka szczegółów, mianowicie, że Dymitr podczas napadów wszystko kąsał, co mógł dopaść, zębami, n. p. rękę córki Andrzeja Nagiego, mamek i t. d., mogłyby u lekarza-specjalisty wywołać wątpliwość, czy słabość ta była istotnie epilepsyą, czy to nie raczej histerya? Wątpliwość ta budzi bowiem zaraz nowe: tylko epileptyk pada przecież, gdzie go choroba rzuci, choćby w ogień, albo na nóż własny; histeryk zaś nie traci zupełnie przytomności, on wie, wybierze niemal miejsce, gdzie i jak ma upaść; dalsza konsekwencya jasna: jeśli Dymitr był histerykiem, to i nie on się sam „nakłół“. Lecz trudnoż dziś sprawdzać owe szczegóły; raz Dymitr nawet własną matkę podczas napadu w komnacie „swajką“ ową zranił. Że mu tych „swajek“ surowo nie wzbraniano, musi się bardzo dziwnem wydawać.

Otóż na te dwa punkta, dawną, powszechnie znaną „czarną“ chorobę Dymitra, i na zbrodnię Ugliczan, położyła komisya główny nacisk; ona nie zapomniała przytoczyć — jesteśmy w samych orgiach znachorstwa — że Nadzy kazali w dwa dni później zabić waryatkę jakąś w domu Bitiagowskiego, jakoby to ona nasłala była chorobę, „porciła“ (psuła) carewicza; dalej interesuje się komisya nadzwyczaj faktem, że Michał Nagi rozmaity broń, noże i t. d., krwią (kurzą) pomazawszy, na trupach Bitiagowskiego i towarzyszy poskładał, aby stworzyć dowód, że to ich z bronią w rękę, jako

niewątpliwych zabójców Dymitra, lud sam pozabijał. Tu nie żałuje komisya nawet konfrontacyi świadków.

Tembardziej uderzają inne jawne braki śledztwa. Przedewszystkiem nie indagowano carowej. Czyżby zeznanie jej, świadka najważniejszego—gdyż ona to pierwsza rzuciła w tłum hasło zabójstwa przez Bitiagowskich — zagubiło się? Albo czyżby ona była tak wzruszona przejściami owej strasznej soboty, że i w następną środę jeszcze zeznawać nie mogła? Ależ już w czwartek, 20 maja, jest ona w cerkwi obecna, gdy przed nią komisya Wołochowę i innych bada, a potem udaje się do metropolity, na wyjezdnem tegoż, błagając go o łaskawe wstawienie się za Nagich i umniejszenie ich strasznego przewinienia przeciw Bitiagowskim. A takich pytań i wątpliwości nasuwa się więcej.

Jednogłośnie twierdzili wszyscy — wołała Marya i Michał—że „zariezali“ carewicza Nikita Kaczałow, Daniłko Bitiagowskij i Osip Wołochow; komisya skonstatowała zaś ze zeznania Wołochowej i innych, że Daniłki i Osipa wcale przy carewiczu nie było; obaj byli wtedy w dworku Bitiagowskiego, z kąd Osipa z żoną i córkami Bitiagowskiego przywleczono przed Maryę Nagą (na dwór czy do soboru spaskiego znowu wątpliwość) i zabić ich chciano; popi uratowali kobiety, lecz Osipa tłum wywłócił z soboru, zabił i rzucał trupem jak piłką. Tylko o Kaczałowie komisya zupełnie zapomniała, tak dalece, że pytając owych czterech towarzyszy Dymitra, kto był przy carewiczu na dworze w chwili gry fatalnej, wyraźnie tylko tak pytała: „Czy byli Daniłko i Osip przy carewiczu?“ — na co chłopcy słusznie odpowiedzieli, że ci nie byli. Sceptyk wnosilby z samego tego pytania, że Kaczałow, o którego umyślnie nie pytano ani dzieci, ani nikogo innego, był właśnie przy carewiczu, że on go „zariezał“ i umknął do Bitiagowskiego, gdzie go potem z Daniłką zamordowano, gdy błagał, by jego „szurina“ (szwagra) Osipa nie zabijano.

Również twierdzi wielu świadków, szczególnie z służby carowej — jedni wtedy, w chwilę śmierci, nieśli właśnie potrawy na górę, a drudzy stali już przy kredensie — że ca-

rewiecz upadł na ziemię, że długo się tarzał i dopiero podczas tego tarzania pokłół się własnym nożem. Jakto? Chłopczyk upada na ziemię przed oczami czterech towarzyszydzieci, u których o krzyk nie trudno i wobec co najmniej dwóch wiernych kobiet (Kołobowej i Tuczkowej, o Wołochowej nie mówimy), przyzwyczajonych już do napadów takich, i te dają się dziecku tarzać po ziemi z nożem w rękę, aż się pokłóje? Czyż to nie jawny spisek na życie carewicza? A chociaż inni twierdzą, że carewicz zaraz na nożyk upadł, nikt nie wspomina, żeby ktośkolwiek natychmiast z rątkiem przybieżał. Na rażące to uchybienie, na samo pozwolenie owej gry, o której matka pewnie nie wiedziała, komisya najmniejszej wagi nie zwróciła — za to twierdzono później o hojnej nagrodzie, jaką Tuczkowa otrzymała od Borysa.

I tak powtarzają wszyscy świadkowie, jak papugi wyuczone, ową wersję o „nakłóciu się“ Dymitra na nożyku przy grze, że to ją oni na ulicy i w dworze słyszeli — jawna nieprawda, bo na ulicy i w dworze wtedy tylko o „zariezaniu“ carewicza wolano i na „duszogubów“ Dymitra i na wszystkich, którzy się za nimi ujmowali, rzucono się i ich mordowano. Zamiast czterech towarzyszy Dymitra każdego z osobna badać, zadawała się komisya zeznaniem najstarszego z pomiędzy nich, Kołobowa, w zastępstwie wszystkich. Mamka Tuczkowa opowiada, że w jej ramionach skonał Dymitr, gdy z jej winy — bo ona to go nie ustrzegła — nieszczęście się stało; Wołochowa jednak i inni naoczni świadkowie, n. p. Grzegorz Nagi, twierdzą, że carewicz na ziemi leżąc skonał; Grzegorz miał go jeszcze żywego zastać, co podejrzane. Michał Nagi twierdził stanowczo, że owi trzej zabili Dymitra, komisya zaś jego o to wcale nie pyta; pyta tylko: na jaką to słabość umarł Dymitr i bada o ową broń poskładaną, a jeszcze bardziej o Andrzeja Moczalowa, zachora Michała Nagiego, którego on pewnie przeciw zdrowiu cara Fiedora i carowej u siebie chowa; kazano też potem z Moskwy natychmiast Moczalowa w kajdanach do Moskwy odstawić; obawiano się więc tylko spisku Nagich, a trosz-

czono się mało o ową katastrofę. Za to całkiem w duchu czasu kładzie śledztwo nacisk na czary: gdy Michała Bitiagowskiego z izby wleczono, wołał on, że Nagi każe go zabijać, bo on Nagiemu wyrzucał ciągle spiskowanie z „wiedunami“ na życie panujących — chociaż od innych świadków wiemy, że całym spiskowaniem tem było pytanie tylko, jak długo car Fiedor jeszcze żyć będzie — dla Nagich pytanie najważniejsze.

Katastrofa zaskoczyła Nagich widocznie całkiem niespodzianie; gospodarka powierników Borysa nie podobąca się im wprawdzie od dawna, klócił się n. p. Michał Nagi z Bitiagowskim o wydawanie pieniędzy, o dostarczanie ludzi do robót i t. d., wyrzucali im szpiegowanie, lecz na tem się kończyło. Teraz, oszłomieni nieszczęściem, odważyli się Nadzy na formalne *pronunciamento* — kazali jednych mordować, drugich, którzy czerń upamiętywali, aby bez hosudarowej woli ludzi na śmiech nie zabijali, sprzątała czerń sama; kazali potem dom Bitiagowskich zrabować, wreszcie zbroili się i zaprzysięgali współników; wysyłali konnych na drogi zamiejskie; stronnicy Bitiagowskich nie wazyli się też pokazać w Ugliczu. Lecz gdy komisya nadjeżdżała, wracało nietylko zastanowienie, ale natychmiast wszyscy widocznie stehórzyli; jedyny Michał Nagi zachował jeszcze tyle odwagi, że bryznął komisji w oczy wyrzutem, godzącym ostatecznie w Borysa, iż to Kaczałow z innymi „zariezali“ carewicza; zresztą i on się wypierał wszystkiego, mordować nikogo nie kazał, bo był ciągle przy carowej. Jeszcze więcej zmiękli Grzegorz i Andrzej Nadzy; Grzegorz nawet twierdził, że zbierali ludzi na to tylko, aby ciała carewicza, które Andrzej do soboru zaniósł, nikt nie uprowadził, aby przez to na siebie „opały“ carskiej nie ściągali. Najniżej upadła strwożona Marya: ona już tylko łaski błagała; o mordzie syna nie wiedziała.

I Ugliczanie nie lepiej stanęli, ledwie dwóch zeznało, że „bili“ i „grabili“; rzadko który jakoby słyszał, że carewicza „zariezali“; wszyscy powtarzali wersję o grze chłopiat, bezpieczniejszą dla własnej ich skóry; komisya nie wykryła nawet, kto pierwszy na gwałt dzwonił (w odnośnych zezna-

niach jawne sprzeczności i fałsze) — ależ ona i o inne rzeczy się nie troszczyła, n. p. nie dokonała oględzin trupa Dymitra, czy rana była kłóta, czy rżnięta, chociaż niby sam Wasyl Szujski trupa do trumienki układał i t. d.

Z takim to elaboratem wróciła komisya do Moskwy; świątobliwy car i Borys przedłożyli sprawę „najświęszemu synodowi“, lecz przez usta patriarsze uchylił się synod od dalszego współdziałania, zostawiając świeckiemu urzędowi ukaranie winnych, t. j. Nagich i Ugliczan. Do Moskwy wezwano tylko Tuczkową z mężem (czy nie ufano milczeniu ich?) i owego znachora od Nagiego. Koniec sprawy wiadomy: Ugliczan pościnano, innym wrywano języki i wysyłano ich na Sybir, rozesłano Nagich, a zamknięto Maryę, potem już Marfę (Martę) w klasztorze.

Cóż nam, wobec jawnej stronniczości aktu śledczego, sądzić wypada? Wierzyć w ślepy przypadek? czy pomawiać chłopiąt-towarzyszy o zakłócie Dymitra? albo zwalać winę na wypadłego z zasadzki Kaczałowa, któryby po dokonanej w porozumieniu z Wołochową zbrodni uszedł z zamkniętego(?) podwórca, nim Marya nadbiegła? Wymordowaniem tylu ludzi ułatwili Ugliczanie komisji śledczej sprawę niesłychanie, a nam ją powikłali na zawsze. Później Kaczałow za mordercę Dymitra rzeczywiście uchodził.

Czy są, oprócz aktu śledczego, inne współczesne źródła wiarogodne? Jest ich aż nadto, lecz one wszystkie spisane później, po latach kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu, zgadzają się w znamienych szczegółach, sprzecząją w innych, oddają w gruncie rzeczy *tradycję* z rozmaitych, wówczas obiegających wersyj, weześnie ustaloną; inne wreszcie kłamią bezczelnie, n. p. Horsey, ów Münchhausen angielski, uchodzący dziś jeszcze u historyków za nieposzlakowanego świadka: w Jarosławiu w nocy zbudził go niby Afanaz Nagi, błagając o pomoc, bo carowę otruto, a Dymitrowi gardło dyaki poderżnęli, jeden z młodzieży wyznał na torturach (!!)

Głos powszechny oskarżał o morderstwo Borysa; już Pielgrzymowski wypisuje: „A potomek pierwszego kniazia

(Groźnego) wie Pan Bóg od kogo i z czyich ręku poszedł — chociaż znachodzili się i obrońcy Godunowa. W wersjach, które weszły w tradycję, odgrywa nieraz rolę „ożerelie“, naszyjnik, który na Dymitrze zabójca lub zabójcy czy poprawić, czy mu się przypatrzeć chcieli, nim do ciosu wymierzili; to znowu mowa o orzeszkach, które z trupem i do trumienki włożono, a przy otwarciu jej (r. 1606) odnaleziono, niby się nimi chłopczyk bawił w chwili, gdy go mordowano; wedle innych wreszcie zabito Dymitra nie w podwórzu, lecz podczas przechadzki na ulicy. Różniąc się w szczegółach bardzo znacznie, twierdzą wszystkie wersje jednoznacznie, że zabił Dymitra Bitiagowski (z innymi) za poduszczeniem Borysa; o tem nie wątpią nigdy i ta wersja stała się od r. 1606 oficjalną, lecz nie zapominajmy, że wyszła od wrogów Borysa; jedyne jej echo współczesne (z r. 1591) zawarło świadectwo Michała Nagiego — dlaczego wciągnął je Szujski w akt śledczy? Czy tylko po to, aby móżdż wskazać tego, od kogo hasło przeciw Bitiagowskiemu wyszło, czy mierzył on już wtedy dalej?

Lecz jeśli szczegóły zabójstwa czy ukartowanego „przypadku“ wyjaśnić się nie dają, nie może pozostać wątpliwość co do osoby ofiary samej, a o to nam głównie chodziło i dla tego to rzecz tak obszernie wyłożyliśmy. Że prawdziwy Dymitr pod nożem zginął 15 maja 1591 r., nie ulega wątpliwości. Dowodzi tego przedewszystkiem straszny wybuch Nagich, których, gdy już wszystko przepadło, zaślepiała formalnie żądza natychmiastowego odwetu, porażająca i całkiem niewinnych; odchodząca najpierw od zmysłów matka, dopuszczająca potem z zimną krwią zamordowanie Wołochowa u jej nóg, rozwścieczony Michał — to z pewnością nie komedjanci; w pierwszej chwili gardzą oni widocznie własnem życiem i narażają się na straszną karę — że cała jej groza na nich nie spadła, zawdzięczali tylko wyrachowanej wstrzeмиęźliwości Godunowa, któregooby uprzątnienie wszystkich Nagich za jednym zamachem zbyt kompromitowało.

Baśń, którą później fałszywy Dymitr na Zachodzie o rzekomem swem ocaleniu szerzył, tylko tam była możliwą,

gdzie żadnych szczegółów nie znano, a krytyczniej rzeczy nie rozbierano: o lekarzu i opiece, który malców w łóżku powymieniał, gdy zbójcy nadchodzili i t. d., „rzecz godna komedyi Plautowej czy Terencyuszowej“, jak trafnie sędziwy kanclerz i hetman zauważył. W Moskwie podobne baśnie rozsiewać nie uchodziło tak łatwo; wiedziano przecież mniej więcej, jak Dymitr zginął. Nie wiemy wprawdzie dokładniej, jak to Samozwaniec osobiście bojarom tajemnicę swego ocalenia tłumaczył, lecz może być, że uraczył ich plotką, którą obcy na bruku moskiewskim niebawem pochwycili. Ów Bielski, energiczny, ambitny, zręczny przeciwnik Godunowa i zbratanych z nim bojarów z r. 1584, miał to odmienić małego Dymitra i podstawić popowicza jakiegoś na jego miejsce; tego to popowicza wychowywali Nadzy w Ugliczu, tego zamordował nasłany od Borysa zbójca, podczas gdy Dymitra starannie ukrywano.

I rzeczywiście tylko w taki sposób możnaby jakieś pozory prawdopodobieństwa ratować. Wobec znanego niedołęstwa umysłowego Fiedora, musiał Dymitr, choć dwóch lat przy śmierci ojca nie liczył — przecież Iwan Groźny sam małym dzieckiem na tron się dostał i rozkoszowali też bojarowie za małoletności jego — uwagę rządzących i rządzonych na siebie natychmiast po śmierci Groźnego zwrócić. Jeśli więc kiedy, to chyba w samych początkach, n. p. podczas przesiedlin do Uglicza, można było taką wymianę urządzić. Ale i taka kombinacja do celu nas nie dowiedzie. Boć najpierw — albo należeli i Nadzy, szczególnie matka, do tajemnicy, a wtedy nie wytłómaczymy nigdy, dlaczego to oni 15 maja 1591 r. takim strasznym żalem i furią wybuchnęli, ryzykując własne gardła, a nie wytłómaczymy i wielu innych rzeczy: dlaczego n. p. dopuszczono Dymitrowi leżeć w soborze uglickim, jeśli to był tylko podstawiony popowicz, a przecież nie śmiał się Samozwaniec targnąć na te zwłoki, bał się widocznie nadto drażnić matkę. Albo i Nadzy o tajemnicy nie wiedzieli — czyż to możebne? Po cóż silić się na cuda takie Bielskiemu czy komu innemu? Któż mógłby odgadywać przyszłość, kogo w danym razie przeciw Borysowi i Fiedorowi wysuwać

wypadnie? Nie odgrywał też Bielski na dworze Samozwańca roli, jakaby się zbawcy słusznie należała. Dalej, jeśliby się ktoś Dymitrem przed r. 1591 tak gorliwie zajmował i kierował jego ocaleniem i ukryciem tak zręcznie, że Borys na miejscu prawdziwego zamordował podstawionego — dlaczegoż ustало nagle to kierownictwo, dlaczegoż pozwolono młodemu „Dymitrowi“ tłuc się po najrozmaitszych monasterach i zostać mnichem, co go od tronu raz na zawsze wykluczało? Dlaczego nie wskazał „Dymitr“ nigdy znaku jakiego autentycznego, pamiątki jakiejś, relikwii i t. p. Z złotym krzyżem, niby od księcia Mściśławskiego przy chrzcie nawiązanym, popisywał się „Dymitr“ tylko przed Wiśniowieckim, to znaczy: cygan dziećmi świadczył. W końcu, gdy on między czerzucami bawił, miał go jakiś czerniec poznać — czy jako Dymitra? po czem? — i to miało spowodować ostateczną jego ucieczkę do Polski. Ale to taki sam wymysł dla ubarwienia tej ucieczki, jak i to, że z ciężkimi westchnieniami Borysa na tronie ojcowskim w Kremlu przy Sapieżu (zamiast przy Tobie) oglądał.

Wątpliwości tedy być nie może: 15 maja 1591 r. zabił się (czy zabity) syn Iwana Groźnego i pozbył się Borys ostatniego a najgroźniejszego przeciwnika; gdyby nawet bowiem siostra jego, a żona Fiedora, potomka męzkiego jeszcze na świat wydać miała, był Borys na dziesiątki lat w wszechwładzy swej zapewnionym, a któż mógł wiedzieć, co wszystko w takim przeciągu czasu zajdzie. I odetchnął Borys swobodnie.

Lecz miesiąc maj gotował mu zawsze niespodzianki.

W Moskwie samej wprawdzie na razie o Dymitrze zapomniano rychło; postarał się przeciw Godunow, aby Moskwi-czów zupełnie czemś innem zająć. Dopiero gdy car Fiedor bezdzietnie zmarł a dynastia wygasła, wspomniano znowu naturalnie i o Dymitrze i zaczęły się natychmiast rozchodzić po bruku awanturnicze wieści i plotki potworne; jedną z takich plotek podchwycili szpiegowie Andrzeja Sapiehy, a powtórzył ich pan: jakoby Borys odszukał młodzieńca, podobnego do nieboszczyka Dymitra i kazał mu na tron wstąpić, aby w jego imieniu sam rządził. Przytaczamy ten nonsens — uwzględniany mimo to przez historyków! — aby raz na za-

wsze wskazać, co o wszystkich takich donoszeniach szpiegów czy obcych, Bussowa czy Massy, Margereta czy Petreja sądzić należy; wprost nie dowodzą one niczego, dają co najwyżej wskazówki uboczne. Otóż i tu ważnem jest tylko dokumentalne stwierdzenie, że już w styczniu 1598 r. w Moskwie o Dymitrze prawie zaczęto i że odtąd słuchy o nim nie przestały się powtarzać.

Jeśli jednak w Moskwie, zajętej coraz innemi sprawami, o Dymitrze po r. 1591 zapomniano i dopiero w r. 1598 na nowo pamięć o nim odgrzebano, to za to na dalekiej prowincyi, w pobliżu mianowicie Uglicza, śmierć carewicza, formalny bunt Ugliczan i straszne jego ukaranie, wybić się z pamięci nie dały. Ileż to razy, w takim poblizkim Galiczu n. p., utyskiwano nad tem nieszczęściem; wskazywano, że to widoczna kara Boża: „Nie chciał car-gosudar brata swego przy swych carskich oczach chować, dał się chytrym ludziom omamić i wysłał go daleko od siebie; tam on marnie zaginał, a Bóg odjął za to od cara błogosławieństwo, zabrał mu niebawem małą carównę, a żonę jego na zawsze nieplodną uczynił — i biada nam, schodzi carskie nasienie, a w czyjeż ręce my prawosławni się dostaniemy?“ I pocieszali ich inni: „Nie da zaginać Bóg jednemu prawosławnemu narodowi, żeby nam i Dymitra z martwych miał wskrzesić — a może go i wskrzesi — a kto wie, może to i nie jego w Ugliczu sprzątnięto i może żyje on gdzieś ukryty i wyjdzie, gdy zbliży się godzina jego, nam na radość, wrogom prawosławia na sromotne zelżenie“. Tak w Ugliczu, Galiczu i indziej opowiadano albo dumano, a może i wskazywano na stojące obok chłopię: „Ot, były teraz gosudar-carewicz w sam raz jak nasz Griszka — gdzie tam, Griszka starszy był od niego“. — „Co za starszy?“ odpowiadali pierwsi a chłopię chciwie słuchało.

Z Uglicza też i Galicza wyszedł ów gorąco upragniony Dymitr, choć nie na radość Rusi. Któż to był? co za człowiek? Czy to nie upiór raczej powstał z trumienki Dymitra i wytoczył morze krwi ruskiej?

Dnia 15 maja 1591 r. zmarł Dymitr Iwanowicz w Ugliczu, czy to od własnej „szwajcy“, czy od noża Kaczałowa. W półsiedm lat później zjawily się w Moskwie pierwsze wieści o jakimś *falszywym* Dymitrze (w styczniu 1598 r.). Po dalszych pięciu latach *prawdziwy* — z czasem błąd bowiem rośnie — Dymitr wynurzył się w Polsce. Czyżby między r. 1598 a r. 1603 w Moskwie o Dymitrze wcale nie rozprawiano? Sam fakt licznych prześladowań Godunowa zdaje się temu przeczyć, gdyż miały one widocznie nietylko usuwać tych kilku rywalów, niebezpiecznych dla nowej dynastji, lecz sięgały szerzej i trafiały nietylko popleczników Bielskiego i Romanowych. Ponieważ jednak nazwisko i osoba nowego Dymitra po raz pierwszy w Polsce wystąpiły, wysnuwano ztąd z łatwością wnioski w czasach późniejszych, szczególnie zaś za dni naszych, że cała Dymitryada, to sprawka polska, względnie jezuicka: szczerza, niewinna Ruś dała się obłudzie łacińskiej omamić, lecz ze zdradzieckich siód tych wywiódła ją sama Opatrzność, czuwająca troskliwie nad prawosławiem.

Wniosek taki cieszył się w Rosji powodzeniem; schlebialo przecież dumie narodowej i glaskało sumienie, całą winę własną zwałać na Lachów i na Ojców, na wrogów Rosji i prawosławia. Wymowność faktów jednak przemagała powoli dawne uprzedzenia i wniosek ów tracił na kredycie, chociaż i dotąd kryją się uczucia, które go podyktowały, nawet tam, gdziebyśmy ich wcale nie przypuszczali; jeszcze najnowszy i najbezzstronniejszy badacz pojałby Dymitryadę najgłębiej, „jako epizod walki katolicyzmu o panowanie nad światem“. Że pojęcie takie z gruntu fałszywe, dowodzi sam fakt drugiej Dymitryady, Tuszyńskiej, która wszelką myśl o katolicyzmie z góry wyklucza.

Spisek samozwańczy jest wyłącznie *sprawką moskiewską*; w Moskwie myśl się poczęła, moskiewskimi zasobami głównie ją zasilano i w Moskwie ją ukoronowano. Wina Polski i Ojców zależy tylko na tem, że *proszeni* nie odmawiali skutecznej pomocy: jedni, radzi awanturze, w nadziei zysków doczesnych, z bogacenia się rychłego, splacenia olbrzy-

mich długów i t. d., drudzy dla nieba i wiary pracując, ludząc się marą zgębienia schizmy w samym jej mateczniku. Pomoc ta, chwilowo nader skuteczna i pożyteczna, decydująca, zgubiła w końcu Samozwańca: „samo się złe kąsa“. Nie przeczymy więc udziału polskiego i rzymskiego; powiemy nawet, że wobec strasznych prześladowań Borysa, spisek mógł najłatwiej i najpewniej tylko za granicą, w bezpiecznem ustroniu polskiem, formy ostateczne przybierać; lecz ani Polska, ani Jezuici nie stworzyli samego faktu, samozwaństwa, impostury; oni przyszli tylko do *gotowego* i wspierali je wszelkimi siłami, ani przypuszczając nawet, jak srogi zawód ich czekał; oni byli narzędziami, rzuconemi po zrobionym użytku między stare żelaziwo, nie znaczącemi nic więcej.

Szczególniej zawiedli się Jezuici; prosty czerniec moskiewski, nieuk, wyprowadził najgłębszych badaczy sumień ludzkich kompletnie w pole. Słynny list polski do papieża, który on w ich ręku zostawił jako najpewniejszą w ich oczach porękę niewzruszonego niczem katolicyzmu swego, cenił Samozwaniec w tej samej chwili, kiedy go z elaboratu jezuickiego przepisywał czy przerabiał, mniej jeszcze, niż owe fantastyczne zapisy Mnischowi i Zygmuntowi III, gdzie do woli nowogrodzkiemi, pskowskiemi, smoleńskimi i siewierskiemi ziemiami szafował, choć ani piędzi ziemi nikomu ustąpić nie myślał. W oczach Ojców uchodził za gorliwego szermierza katolicyzmu ten, który do najzaufańszych swych zaliczał Aryanów, takich, jak Buczyńscy<sup>1)</sup>, zaleconych jemu, czy znanych może jeszcze, gdy w Hoszczy aryańskiej u Hojskiego przebywał, ten, który nie z przekonania, lecz dla polityki, prawosławiu poddanych swych, gorąco się akkomodował, który Jezuitów obok siebie cierpiał, nie dla ich wiary, lecz dla nauki i oświaty, jaką oni wobec barbarzyństwa i ciemnoty moskiewskiej reprezentowali a Samozwaniec wy-

<sup>1)</sup> W rękopisie Małopolanina Balińskiego z początku XVII wieku znaleźliśmy wzmiankę o Aryaninie Janie Buczyńskim; i Aryanin Moskorzowski przypytywał się do Samozwańca.

soko cenil. Zrozumieli to niebawem przydani do boku jego Ojcowie, Ławicki i Czyżowski, a później i Sawicki, lecz posłuszni wytrwali do końca, mimo wszelkiego rozczarowania. Więc w całej Dymitryadzie Jeznici byli i najniewinniejsi i ci, którzy najpierwsi zupełnego zawodu doznali; „znawcom ludzi“ tym razem wiedza nie dopisała.

Nie zmienia sądu naszego rola, jaką Grek Ignacy, patriarcha moskiewski, z ramienia Samozwańca, wtedy odegrał. Że archiepiskop rizański (z nominacyi Fiedora jeszcze!), który pierwszy z archijerejów Samozwańcowi się pokłonił, miejsce patryarsze Hioba, oddanego ślepo Borysowi, zajął, odbyło się najnaturalniej w świecie, również jak i to, że z upadkiem Samozwańca i jego ojciec duchowny ustąpić musiał; więc jeśli Samozwaniec i ów Ignacy (dla dawniejszego pobytu w Rzymie, a późniejszej komitywy i zażyłości z unitami) koniecznie za pionków papieżkich uchodźć mają, to spotkali się oni w każdy sposób zupełnie przypadkowo na tej samej szachownicy dziejowej; była to rzecz ślepego trafu, nie zwycięstwo kombinacyi rzymskiej; w Moskwie zresztą Ignacy był tak samo tylko prawosławnym i Rzym zwalczał, jak i Samozwaniec.

Ograniczywszy więc „współdział“ Jezuitów i Rzymu do prostego korzystania z nadarzającej się okoliczności, z gotowych, choć obłudnych ofert Samozwańca, do marzenia o niebieskich migdałkach, przypatrzmyż się z kolei współdziałowi Polaków w intrydze, gdyż za ich winą przemawiają o wiele głębsze pozory i fakta.

Najpierw Wiśniowieccy z Mniszkami, u których się Samozwaniec najpierw objawił, byli ludzie tego sprytu i sumienia, że możnaby im śmiało autorstwo całej komedyi przypisać, chociaż oni tylko jej reżyserowie i to tylko w obrębie Polski. Po za jej granicami ustawała natychmiast ich rola; przebywszy raz Dniepr, Samozwaniec rządził się sam. Wobec gorącego udziału tych panów polskich, Litwa ustępuje na daleki plan, sympatyi ku Samozwańcowi nie żywi żadnych, posiłków mu nie daje, od awantury odradza, z wyjątkiem jednego dygnitarza, który officyalnie również w nic się nie

mieszał, nawet odradzał i przestrzegał, lecz prywatnie Samozwańca wszelkimi siłami popierał, *jeśli nas znowu pozory nie mylą.*

Miał Lew Sapieha aż nadto powodów do takiej polityki dwulicowej. Rozgoryczony i zniechęcony, opuszczał on Moskwę r. 1601, doznawszy zupełnego fiasco; poselstwo jego, mające unię polsko-moskiewską zainicyować, skończyło się przecież tem, że Moskwa Zygmunтови III nawet tytuł króla szwedzkiego odebrała, wytrzymawszy wprzód wielkich posłów polskich przez kilka miesięcy w formalnem więzieniu; wystarczało to chyba, aby głęboką niechęć Sapiehy ku rządzącej Moskwie uzasadnić. Lecz on sam zaprzysiągł uroczyście Borysowi pakta przymierne i jawnie krzywoprzysięcą wystąpić nie mógł; za to cichaczem mógł forytować Samozwańca.

Samozwaniec bowiem przedstawia złączenie dwu zupełnie odmiennych osobistości: jedna na pokaz dla Polski, Rzymu i Zachodu, kryptokatolicka i wdzięczna Polsee — druga prawosławna i moskiewska; nawet dzieje tych dwu osobistości były zupełnie odmienne. Wspomnieliśmy już, co za nędzną bajkę o ocaleniu Samozwańca przed zamachami Borysa w Polsce i Europie szerzono, bajkę w Moskwie niemożliwą — otóż podobne mistyfikacye, specjalnie dla mydlenia oczu polskich przeznaczone, urządzano kilkakrotnie w Założcach u Wiśniowieckich i w obu zdaje się brał jakiś udział Sapieha. Gdy bowiem owe plotki o wiernym lekarzu i podstawionem chłopięciu rozpuszczono, chodziło jeszcze o autentyczne agnoskowanie Samozwańca: otóż „poznaje“ go najpierw Piotrowski, dworzanin Sapiehy a zbieglec moskiewski (Pietruszka, „wor“ Istomy Michniewa z r. 1602, zowią go od Szujskiego, r. 1606, posłowie moskiewcy), który twierdził, że w Moskwie (!! Dymitra nigdy w Moskwie nie było) widywał Dymitra uglickiego i że mógłby go poznać. Gdy to nie bardzo przekonywało, posłano, znowu od Sapiehy, Inflantezyka do Załoziec, który niegdyś w Ugliczu czy bawił tylko, czy nawet Dymitrowi (!! służyl i teraz go po różnych oznakach poznawał: komedyę (w Moskwie znowu

niemożliwą) w Założcach odegrano znakomicie. Dla sukcesu tej komedyi powtórzono ją i w Samborze u Mniszków: niegdyś więzień moskiewski, teraz sługa Mniszków, poznawał „Dymitra“. Posunięto się potem jeszcze dalej: już w orszaku poselskim Sapiehy znajdował się Samozwaniec i wraz z nim przypatrywał się z bólem w sercu uzurpatorowi tronu wielkksiążęcego; ostatni ten szczegół i w Moskwie opowiadano.

O to poselstwo zahaczają wszyscy, którzy twierdzą, że za pobytu Sapiehy w Moskwie nawiązano odnośne intrygi, że Sapieha pozostawił bojarom osobę, mającą niebawem odegrać rolę Samozwańca, że odtąd pojawiały się wieści o nowym Dymitrze i Borys prześladowania rozpoczął. Kombinacye te są zupełnie dowolne. Nie kładziemy, jak już wspomnieliśmy, nacisku na to, że Pielgrzymowski, piszący dla Sapiehy obszerną relacyę poselstwa, ani słówkiem o podobnych matactwach nie wspomniał, chociaż nie mógł Borysowi i Moskwie dosyć nazłorzeczyć. Pielgrzymowski bowiem dla ciągłej słabości mało przy czem bywał obecnym, mógł go zresztą Sapieha w takie machinacye z umysłu wcale nie wtajemniczać. Wiemy jednak najpierw, że owe prześladowania na wielką skalę wyprzedziły poselstwo, że katastrofa, która świeżo Romanowych spotkała, odstraszać musiała każdego śmiałka, tembardziej, że właśnie wtedy Borys był u samego szczytu powodzenia swego, że poselstwo trzymano pod najściślejszym dozorem — ani ptak nie mógł do nich przelecieć — że stosunki z wszystkimi bojarami bez wyjątku były nadzwyczaj naprężone i wręcz nieprzyjazne, że od ciągłych łań i grózb niemal do bójki nie przychodziło. Twierdzenie więc o nawiązywaniu intrygi tak ryzykownej z tymi samymi kornymi służkami Borysa, całkiem gołosłowne, nie przedstawia i cienia dowodu, a choćby prawdopodobieństwa.

Całkiem co innego, gdybyśmy przypuścili, że to Wiśniowecy wszystko przygotowali, że oni wynaleźli i wyuczuli Samozwańca i z Mniszkiem postarali się dłań o protekcyę królewską, jezuicką i sapieżyńską. Do wynajdywania uzurpatorów i prowadzenia ich na tron przyuczyliby się oni na

Włoszczyźnie — ekspedycja moskiewska obiecywałaby im stokroć większe plony i zaszczyty, a mniej zachodów, gdyż o wrzeniu przeciw Borysowi na całej Siewierszczyźnie i między Kozakami wiedzieli pewnie; z Załoziec wyszedł też Samozwaniec istotnie. Sprzeciwia się jednak temu podrzędna zupełnie rola, jaką Wiśniowieccy, chociaż pierwsi forytarze i szwagrowie Samozwańca, w dalszej akcji odgrywają; należałyby się im całkiem inne nagrody i odznaki, choćby takie, jakie Mniszechowi w gotówce i klejnotach przypadły. Czegoby Ostrogskim, Zamoyskim, Żółkiewskim honor i sumienie nigdy ani tknąć się nie dopuścili, to właśnie nęciło Wiśniowieckich, Mniszców, Stadnickich; niestety, zasada „nie honorowo, ale zdrowo“ i prócz nich, między sejmującymi stanami nawet (r. 1605), popleczników znajdowała licznych. Marnie przebrzmiały uwagi Sapiehy, tak cenne i znakomite, że odczytując je i wierzyć się nie chce, aby ten sam wielki statysta mógł cichaczem przeciwnie postępować; Sapieha bowiem najtrafniej wszystko raz na zawsze przewidział i przepowiedział. „Samozwaniec — są jego własne słowa — na pewne nie jest Dymitrem, lecz gdyby nawet nim był istotnie, cóż ztąd Koronie za pożytek? Powinie mu się noga, mamy nieuchronną wojnę z Borysem; zwycięży on, to żadnych obietnic nie dotrzyma, tembardziej, skoro widzi, jak my sami paktów Borysowi dotrzymujemy“. Uwagi te, poprostu genialne, nie wiemy tylko, czy zupełnie szczere, przychodziły niestety za późno. Powtórzmy więc za Żółkiewskim: „Dla ambicyi i chciwości swojej“ podjęli się Wiśniowiecki i Mniszech „forytować, prowadzić na państwo moskiewskie“ Samozwańca, lecz nie oni go stworzyli; Samozwaniec sam pierwszy do nich się zgłosił, oni go tylko przyjęli otwartymi ramionami i utorowali mu pierwsze najtrudniejsze kroki; oni to zwerbowali innych i odetchnęła Polska swobodniej, gdy ta hałstra niesforna jej granice opuściła. Do tego tylko redukuje się udział polski — nie Polacy przecież stworzyli ani wystawili Samozwańca.

Wobec jednomyślnej zgody wszystkich kompetentnych źródeł nie może być wątpliwem, że Samozwaniec był „na-

rodu moskiewskiego“, że nie pochodził z Polski czy Litwy, że nie mógł więc być n. p. synem nieślubnym króla Stefana Batorygo. Miał Batory nieślubnego syna, ale nie był nim Samozwaniec, tylko p. Knębowski, o którym, znakomicie nieraz poinformowana, stara (z lat 1620—1640) pochodząca *Księga Chamów* p. Nekandy-Trepki (na k. 167, 6, oryginału petersburskiego, tak samo w odpisie późniejszym w Bibl. Ossolińskich) twierdzi: „Bękart króla Stefana, w Grodnie z miejską dziewczką miał go, służył w konfederacyi na 12 koni w rocie Młockiego 1613 r., miał trzydzieści i kilka lat, z Moskiewką mieszkał, w Grodnie miał osiadłość“.

Wygaśnienie nagle odwiecznej dynastyi, niezadowolenie z rządów Borysa u bojar i szlachty, trapiionych srogimi prześladowaniami na byle denuncyacyę mściwego chłopca, wrzenie w ziemi siewierskiej i na Donie, wybuchające groźnym ruchem Chłopki Kosolapa już w r. 1603, nagromadziły materiałów palnych; zjawienie się Samozwańca na granicy polskiej dołało oleju do ognia, stało się hasłem otwartego buntu, iskrą, rzuconą w nagromadzone prochy.

Wystąpienie i powodzenie Samozwańca objaśnia się dostatecznie ową niesłychaną łatwowiernością owych czasów, idącą w parze z równie dziką podejrzliwością: nie wiemy, czemu się więcej dziwić, czy potworności rozsiewanych wieści, czy łatwości, z jaką w nie wierzone.

Mieliśmy już kilka prób wieści moskiewskich (z r. 1598) i bezczelnych mistyfikacyj z Załoziec wychodzących (r. 1603); powtórzył je bez zająknięcia król Zygmunt w listach do senatorów, wysyłanych po 15 lutego 1604 r., gdzie mowa i o owym Inflantczyku, obecnym w Ugliczu podczas zamordowania podstawionego chłopięcia (naturalnie w nocy!!). Lecz wierzone i podejrzewano rzeczy stokroć gorsze. I tak, zgładził Borys nietylko Iwana Groźnego i Dymitra, ale nawet cara Fiedora i własną siostrę, carowę-monachinię; nakoniec otrul się sam — lecz nie, on nie umarł, on się skrył chwilowo, uciekł na okręcie do Anglii i wrócił gdy burza minie, bo to mu wieszczkowie radzili, jeśli chce siebie i dynastye

ubezpieczyć <sup>1)</sup>. Anegdota podobne odznaczają się nieraz nadzwyczajną dramatycznością, dowodzącą, że fantazyja ludzi XVII wieku, chociaż oni o Szekspirze nie słyszeli, umiała stwarzać stokroć tragiczniejsze sytuacje i efekta, niż fantazyja wszystkich nowszych dramaturgów, nie wyjąwszy Schillera. Bo cóż może być więcej przejmującego, jak owa nocna scena w Kremlu, gdy Borys i żona jego, godna córka najszrobszego kata, sami badają Marfę, co ona wie o synie, a gdy ona wypiera się wszystkiego, carowa sama, jakby pomocnik kata, rzuca się, aby jej świecą płonąca oczy wypalić, a wtedy to zeznaje Marfa, że Dymitr, uprowadzony z Uglicza mimo jej wiedzy, żyje jeszcze. Jeśliby ta anegdota w czemkolwiek na wiarę zasługiwała, to należałoby ją tak pojąć, że żądał Borys od Marfy, aby się publicznie Samozwańca wyrzekła i niczego nie osiągnął — lecz mimo kilku (niezawisłych) źródeł, uważamy ją tylko za jedną z niezliczonych plotek ówczesnych. Marną plotką nazwiemy nawet to, co Żółkiewski donosi, jakoby Marfa do Zygmunta III Inflantezyka jakiegoś przysyłała z doniesieniem, że Samozwaniec nie Dymitr — albo doniesienie Margereta, że po zamordowaniu Samozwańca w Jarosławiu, członka kompanii angielskiej handlowej sam Griszka Otreppow zapewniał, że Samozwaniec był prawdziwym Dymitrem! Wszystkie tym podobne doniesienia ważą tyle tylko, co owe zeznania Piotrowskiego i Inflantezyka lub bajki o Godunowie, są tylko zręcznymi lub niezręcznymi zmyśleniami. Chorobliwie podrażniona fantazyja ludzi ówczesnych, ani na chwilę tworzyć nie przedstawiała: wizye, zjawiska w powietrzu i na niebie, prognostyki jakieś co chwilę, przepowiednie, a przedewszystkiem plotki i głuche rumory, ścigają się na przemiany. Śmierć Samozwańca dolewa oleju do ognia: całe miasto oglądało całymi dniami trupa jego i Basmanowa i znęcało się nad nimi — i mimo to, już w pierwszy tydzień gruchnęła nagle wieść, że to nie

1) Takie baśni polecał król Zygmunt III sam gorliwej uwadze Samozwańca przez Gosiewskiego; śmiał się z nich Samozwaniec, a wierzył w nie Zygmunt!!

Samozwańca zabito; znaleźli się mędracy, co dowodzili, że trup był odmiennej budowy; wystarczył prawdziwy czy udany fakt zniknięcia dwóch wierzchowców ze stajni carskiej, aby powszechnie twierdzono i wierzone, że to Samozwaniec umknął na nich z wiernym towarzyszem! I zaraz kupi się ziemia Siewierska w jego imię i nie mogąc się Samozwańca doczekać, wysuwa synowca jego, Fiedorowicza, na czoło zastępów, zdążających ku Moskwie!! Potem znalazł się i Samozwaniec, i iluż to było, włączając Marynę samą, którzy wierzyli lub udawali wiarę, że to pierwszy Samozwaniec, ocalony w Moskwie jeszcze cudowniej, niż niegdyś w Ugliezu. Człowiek trzeźwy i rozumny, jak Niemojewski, nie daje w żaden sposób wiary owym bredniom, a mimo to, po jakimś czasie „dopierośmy poczęli wierzyć, że car Dymitr Iwanowicz żyw — *przeciw wszystkiemu podobieństwu i wiadomości, jakąśmy mieli z procesu tego, który się z trupem zabitym dział. Musiał rozum ustępować wiadomości wedle onego, że wszystko u Pana Boga podobno etc.*“ Otóż takimi argumentami wtedy wojowano; najniemożliwszy cud uchodził za rzecz najzwyczajszą, a jak cuda urządzać umiano, opowiadają ci, co uzdrowienia ślepych i chromych przy trumienice prawdziwego Dymitra obserwowali.

Cóż stąd za nauka albo przestroga dla badacza? Oto, wobec rozsiewania najpotworniejszych pogłosek i plotek, należy usuwać z rachuby wszelkie opowiadania, choćby najniewinniejsze i najprawdopodobniejsze na pozór, mianowicie zaś te, które cudzoziemcy przytaczają, nie rozumiejący nieraz dostatecznie, co im tubylecy bajali. Więc anegdoty o kniaziu Mściśławskim i jego krzyżu złotym (darze chrzestnym) dla „Dymitra“, o Marfie i jej zeznaniach, o synowstwie Batorowego<sup>1)</sup> i tyle a tyle innych są dla nas tylko płodami fan-

<sup>1)</sup> Na dowód, że Samozwańca za syna Batorowego szczególnie Polacy uważali, przytoczono i ustęp z listu Żeromskiego (ze stycznia r. 1606): „Są niekórzy, co się obawiają, aby z tego tak już zawołanego i we Włoszech cara, nie był Siedmiogrodzianin jaki, jest ich nie mało, co tak rozumieją, a zwłaszcza Litwa, która wielkimi mu jest nie-

azyi, umyślnie lub bezmyślnie tworzącej. Rzucając je wszystkie, udajemy się do źródeł właściwych.

Źródła te są ruskie i polskie, oficjalne i prywatne, pamiętniki współczesne i tradycja późniejsza. Któż z nich zasługuje na wiarę?

Ruskie źródła, oficjalne i prywatne, uznają od r. 1604 jednoznacznie i niewzruszenie w Samozwańcu Griszkę Otreppjowa, „razstrigę“ t. j. mnicha-wywłokę; mimo znacznej ich liczby, ilość szczegółów, jakie podają, jest wcale drobną; kroniki i „skazania“, poświęcają zazwyczaj tylko jeden lub parę rozdziałów Samozwańcowi, wytykają jego zamysły ku zagubie prawosławia skierowane, tchórzliwe zaślepienie bojarów, duchowieństwa i ludu, ożenek z „bisurmanką“ albo „luterką“ (bo tak oni katoliczkę zowią); szczęśliwe uprzedzenie i zniweczenie rzekomego planu jego, wygubienia bojarów za pomocą „gości weselnych“ Polaków. I na tem już koniec. Widoczny ich ambaras; gdyby mogli, zamilczeliby pewnie cały przykry epizod, świadczący strasznie niekorzystnie o Moskwie i jej charakterze; one ratują siebie i sytuację dopustem Bożym, karą boską za stare grzechy. Pisząc po r. 1605, nieraz nawet w lat kilkanaście później, zacierają zresztą stale ślady dziejowej prawdy, im niewygodnej, ochraniając Szujskiego i Filareta (Romanowa, metropolitę z łaski Samozwańca).

Inaczej ma się rzecz z źródłami zachodniemi; te śledzą przebieg faktów nieraz dzień za dniem i podają najobfitsze szczegóły, od każdego ubioru Samozwańca (a zmieniał on go parę razy w dzień) począwszy, aż do miny i słów jego. Dobra ich wola i staranie o prawdę nieraz wątpliwości podlegać nie mogą, lecz nie sposób im było dobić się pewnych in-

---

przyjaciół“. Ustęp ten jednak nie znaczy, żeby Samozwaniec był Siedmiogrodzianinem z rodu (bo nie *Polacy* mieliby się tego *obawiać*), lecz znaczy: obawiają się, by z niego nie był jaki Siedmiogrodzianin t. j. intrygant i wróg Polski, jak Betlen Gabor n. p., albo który z Batorych — tylko tego można się było w Polsce i na Litwie *obawiać*, a to dla przyszłych zawikłań.

formacyj. Wierzymy n. p. Massie na słowo, że na kozle karety Mniszchówny, gdy do Moskwy wjeżdżała, siedział murzynek, bo tego on widział na własne oczy, lecz inne szczegóły jego i wszystkich innych źródeł mają tylko wartość brukowych wiadomości, to znaczy głupich plotek, w których tylko przypadkiem szczegół jakiś prawdziwy ukryty być może. Gdybyśmy i dziesięć razy więcej tych źródeł mieli, nie postąpilibyśmy jeszcze ani o krok jeden w poznaniu samej prawdy. Niewiarogodność tych źródeł nawet tam, gdzie najlepiej poinformowane być mogły, razi nadzwyczaj. Taki prawdomowny Niemojewski n. p. siedział całymi miesiącami ze Słońskim, poufałym Samozwańca, w więzieniu, mógł więc zasięgnąć szczegółów pewnych, n. p. o procesie i ułaskawieniu Szujskiego, tymczasem i to nawet, co o tem podaje, nie zgadza się z prawdą lub jest niedokładne.

Uchylamy więc z góry świadectwa osób prywatnych, dalekich, jak Niemojewski, Bussow, Massa, Petrejusz, Margeret i tylu innych ruskich i obcych; ograniczamy się do świadectw oficjalnych, do aktów, poselstw, listów, zeznań osób, blizkich intrzydze.

Lecz tutaj wpadamy w o wiele gorsze trudności: tacei prawdy do badać się ani nie umieli, ani nie mogli — ci zaś, wszystkie osobistości oficjalne, kłamią umyślnie, czynią co tylko możliwe, aby wszelką prawdę ubić i zatrzeć raz na zawsze. Cóż nam pomoże n. p. świadectwo najkompetentniejszych w świecie osób, Marfy i Szujskiego? Raz pada Marfa w obliczu rozrzewnionego do łez ludu w ramiona mniemanego syna, stosunek ich na pozór najserdeczniejszy, „syn“ odwiedza ciągle „matkę“, dba o jej wygody i zaszczyty troskliwie, ona znowu cierpi jako kochająca matka nawet „bisurmankę“ jako synową — a potem ta sama matka przyjmuje wieść o zamordowaniu kochanego „syna“ najubożniej w świecie i wychodzi naprzeciw trumience uglickiej i wypiera się Samozwańca uroczyście. Kiedyż Marfa kłamała bezczelniej: czy teraz w obawie przed Szujskim i bojarami, czy wtedy w obawie przed Samozwańcem i dla pragnienia zaszczytów carowej-matki i zemsty nad Borysem? A Wasyl

Szujski? Czyż mogą być wstrętniejsze i obrzydliwsze kłamstwa, jak te, które on w pierwsze dni po wstąpieniu na tron oficjalnie rozsiewać kazal, ażeby lud, gorąco do Samozwańca przywiązany, uspokoić i pocieszyć: pseudozeznania Buczyńskich n. p. o zamiarach Samozwańca wymordowania przednich bojarów, to najpotworniejsze kłamstwo, z jakim się w dziejach Moskwy spotkać można! Cóż więc mogą ważyć zeznania i przysięgi człowieka, który „co technie, to łgnie“?

Obok tej pary komedyantów i łgarzów, staje godnie Samozwaniec i wahamy się, komu z nich palmę pierwszeństwa przysądzić mamy. Kłamał on inaczej w Polsce, inaczej w Moskwie; o przyznaniu się, kim on jest właściwie, kłamał raz tak, drugi raz inaczej, spowiadał się z tego raz na łożu śmiertelnem przed popem, drugi raz w łaźni przed księciem, ani dbając, że kłamstwa nie powinny się znosić nawzajem, że kłamcy potrzeba dobrej pamięci. Cała droga jego do tronu kłamstwami wyścielona; czego on nie nakłamał n. p. o losie Borysa i familii jego! I zebrał co posiał, bo tylko kłamstwem i Szujski go uśmiercić potrafił, buntując czerń, jakoby Polacy cara mordować zamierzali.

Wobec tych protagonistów kłamstwa ustępują skromnie na dalszy plan i świątobliwy Zygmunt III i zacny Mniszech i tylu innych, którym się tylko czasem mimowoli słowo prawdziwe wymyka, jak owemu żołnierzowi, co Samozwańcowi prawdę wywróżył: „Ty dalibóg będziesz na palu“, albo Basmanowi, najwierniejszemu — jednemu zresztą — stronnikowi Samozwańca w Moskwie, jeżeli tylko wynurzenia jego o szalbierstwie Samozwańca, o jakich Bussow wspomina, są prawdziwe.

Możnaby nawet zapytać, czy był choć jeden jedyny człowiek w całym otoczeniu Samozwańca, między bojarami i duchowieństwem, między Polakami z dworu i wojska, ktoby w Samozwańca wierzył? Byli łatwowierni w Moskwie, cała czerń i Dońcy, którzy za „hosudara-słoneczko“ porąbać by się dali i ubliżających mu rozrywali w kawalki, ale okrom pospólstwa samego, każdy inny wiedział, co o Samo-

zwańca sądzić. Jedni zgadzali się na jego rządy, jeśli im będą korzystne; drudzy, Rurykowiec i Gedyminowiec, pozbywszy się Samozwańcem Godunowa, czekali tylko chwili, by jego teraz uprzątnąć, lecz jedni jak drudzy „na pewne doszli, że Samozwaniec nie własny ich car“ (słowa Chripunowa, zbiegła z Moskwy przed Borysem, w styczniu r. 1606, stronnika Samozwańca i Polaków, nie „agenta Szujskiego“).

Wobec tego byłoby więc naiwnem pytać, któż mówił prawdę? skoro wszyscy w zawody kłamią i tylko kłamią. Należy oczywiście pytanie sformułować inaczej: czy był ktokolwiek w całej tej zgrai, czyj los cały zawisł od wykrycia prawdy, a potępienia kłamstwa?

Podczas gdy Marfa i Szujski, Mniszech i Zygmunt III, Samozwaniec i Basmanow na kłamstwach zyskiwali i kłamstwami się trzymali, jeden człowiek wszystkie swe siły — a miał on środki olbrzymie — wyteńczyć musiał na wydobycie szczerzej i jasnej prawdy. Borys Godunow i familia jego, rządy i dynastia, zawisły od zdemaskowania Samozwańca, a z Borysem trzymał patriarcha Hiob. Obu zależało równie na tem, żeby nie byle jaką osobę Samozwańcem ohrzeić: ich bezpieczeństwo wymagało stanowczo, żeby wszystkim ukazać z wszelką pewnością tylko tego jednego, który to pod maską Dymitra się ukrywał. Gdy Borys przyszłość już zapewnioną widział, gdy rywalów niebezpiecznych złamał i pooddalał, gdy się tylko jeszcze Szujscy około niego wieszali, oto w chwili największego powodzenia widmo Banka przeraża tego Makbeta moskiewskiego; nagle przybiera to widmo kształty i ciało i niezwyciężony samodzierżca czuje się ugodzonym w najsłabsze miejsce: zaszło właśnie co nikt nie przewidywał. Samo nazwisko Dymitra stawało się straszną, nieodbitą bronią i podejrzliwy władca strzeże się je wypowiedzieć. Zaczyna się jedyna w swoim rodzaju walka w dziejach całej ludzkości, dramatyczniejsza niż wszystko, co Schillery i Szekspiry powynachodzili: wszystko, co się w całym państwie moskiewskim podejmuje, skierowane tylko przeciw „Dymitrowi“ — mimo to nazwiska tego nigdy się ani nie wymawia. Na granicach od „Litwy“ urządzają najści-

ślejsze zastawy — niby przeciw morowemu powietrzu; wystawiają i wysyłają wojska, niby przeciw Tatarom; wysyłają gońca do „Litwy“, ale w jego liście wierzytelnym mowa o wszystkim innem, tylko nie o właściwym celu; setki giną na torturach, ugodzeni pałką w głowę i pod lód wsadzani, lecz właściwej ich winy nigdy się nie wyjawia, a tymczasem rosną hydrze buntu coraz nowe głowy. Bunt kołata coraz wyraźniej do wrót moskiewskich; coraz częściej zjawiają się zbiegowie z coraz liczniejszymi listami do Samozwańca z Moskwy, coraz liczniejsi agenci jego samego w granicach Moskwy; jawne przystąpienie Dońców do niego, posilki panów polskich, niedwuznaczne poparcie króla, wzmagają tak dalece niebezpieczeństwo, że najwyższy już czas, porzucić tę walkę bezimienną i jawnie przed wszystkimi zdradę i wroga nareszcie wytknąć, którego dotąd ciebaczem tylko, ale z nieubłaganą srogością i konsekwencyą zwalczano.

Źródło późniejsze opowiada, jakoby szpiegowie Godunowa powrócili z „Litwy“ z doniesieniem, że za Dymitra Uglickiego wydaje się mnich-wywłoka Griszka Otrepjow. I roześmiał się na to Borys; on wiedział przecież, że wydał był srogi nakaz djakowi Smirnemu Wasiljewowi, Griszkę do Sołówek (monasteru białomorskiego) pod ścisły nadzór odstawić. A przewinił był Griszka tem, że w cudowskim monasterze w Moskwie nieraz twierdził, iż będzie jeszcze carem moskiewskim i doniósł był o tem metropolita rostowski Jona Borysowi. Lecz djak Wasiljew opowiedział był drugiemu djakowi Semejce, krewnemu Griszki, co za los Griszkę czeka i prosił Wasiljewa Semejka, aby nie spieszył z wykonaniem rozkazu, że się będzie Semejka starał o odmianę wyroku. Zrobił to Wasiljew dla niego i zapomniał w końcu o tem; tymczasem Griszka przestrzeżony uciekł z Moskwy na Nowogródek Siewierski kołując do „Litwy“. Kazał więc Borys Wasiljewa zawołać, zapytał, czy rozkaz co do Griszki wykonał — i oniemiał Wasiljew z przestachu; pod pozorem niedoborów w kasie pałacowej (!) kazał go Borys bić kijami do śmierci.

Przytoczyliśmy tę wersję, nie żebyśmy do niej przykładali większe znaczenie, niż do setnych innych podobnych anegdot, lecz dlatego, że wprowadza ona nas odrazu w otoczenie, z którego Samozwaniec, ów Griszka Otreppjow Borysa, wyszedł rzeczywiście.

Ród Otreppjowych, drobnej szlachty, służył w „synach bojarskich“ z Uglicza i Galicza; w spisie z r. 1577 odszukano ich razem z Jackimi, Koltowskimi i Dubieńskimi (Chripunowymi?); z jednym Jackim uciekł później Griszka do Litwy, Koltowska jedna była żoną Iwana Groźnego (żyła do r. 1626!), a Chripunowy, jeśli oni wraz i Dubieńscy (Zygmunt III mówi bowiem o Chripunowych-Dubieńskich), uciekli przed Borysem do Litwy pod protekcyę Sapiehy. Zamiatnia Otreppjow na stare lata wstąpił do monasteru cudowskiego; miał on trzech synów: Smirnego (którego później Borys do Polski posyłał, aby zdemaskował bratanka, Griszkę; Samozwaniec miał go na Sybir zesać), Bogdana, ojca Griszki (?) i Tichona. Bogdana, setnika strzeleckiego, zamordował Litwin w slobodzie podmoskiewskiej. Syn jego, w świeckim stanie Jerzym zwany (Juszka, Georgij), służył u Romanowych i Czerkaskich, lecz był okropny niepoń, „mataniną się bawił, rozbijał, kradł, grywał w kostki i pijał“ i aby ująć kary za występki, wstąpił do monasteru, przybierając jako czerniec imię Gregorij (baczono na to często, żeby nazwa świecka i duchowna tą samą literą się zaczynały, więc Marya — Marfa i t. d.); postrzygał go św. Tryfon (Wjatski). Lecz długo na jednym miejscu Griszka nigdy nie wytrwał i włóczył się on po różnych monasterach, był i w rodzym Galiczu i indziej. W końcu uproszono archimandrytę monasteru cudowskiego (Michajła archistratiga) Pafnucego (którego później Samozwaniec na metropolię krutycką wyniósł?), ażeby Griszkę przyjął do cudowskiego monasteru, do celi jego dziadka Zamiatni. Pafnucy zezwolił i przebywał Griszka rok cały u niego, jako dyakon. Potem dla pisma jego wziął go patriarcha Hiob na swój dwór. Lecz po roku i tu nie wytrzymał Griszka, chociaż Hiob mu sprzyjał i brał go nawet ze sobą na posiedzenia „dumy bojarskiej“. Rwał się Griszka w świat, niby

do miejsc świętych, do Ławry Pieczarskiej (Kijowskiej) i do Palestyny; przynajmniej tak twierdził przed oboma czerńcami, których 15 i 16 lutego 1602 r. jako towarzyszy świętej drogi zwerbował: przed Barlaamem Jackim i Misaiłem (w świecie Michałem) Powadinem. W trójkę wybrali się oni w drogę; na Nowogródek Siewierski przedostali się do „Litwy“, do Kijowa. Od ihumena (Pleteneckiego) upraszał się Griszka do księcia Konstantego Ostrońskiego; zamiar zrzucenia habitu zakonnego był coraz widoczniejszy, lecz ihumen przeszkód nie czynił. U Ostrońskiego bawili wszyscy trzej przychodzący przez lato r. 1602, i rzeczywiście znaleziono niedawno księgę Wasyla Wielkiego, gdzie na odwrocie karty tytułowej wpisano: „Księgę tę dał nam, Grzegorzowi („carewiczu moskiewskiemu“ dopisała nad linią inna ręka?) wraz z bracią (t. j. zakonną) Barlaamem i Misaiłem, książę Konstanty Ostroński, wojewoda kijowski, 14 sierpnia 1602 r.“ Bawi Griszka może i w monasterze dermańskim ks. Ostrońskiego; tak przynajmniej syn, ks. Janusz, kasztelan krakowski, donosił królowi (w liście z 2 marca 1604 r.). Lecz podczas pobytu u ks. Konstantego poznał się Griszka z marszałkiem dworu książęcego, Gabrielem Hojskim i za jego wezwaniem (żeby mu dzieci pisma słowiańskiego wyuczył?) przeniósł się, zrzuciwszy habit, do Hoszczy. Hojski i Hoszcza byli na Wołyniu, obok Czapliców-Szpanowskich w Kisielinie i Sieniutów w Lachowcach, głównymi promotorami aryaństwa. Tu nabrał się Griszka owej tolerancji albo raczej obojętności religijnej, która go tak wybitnie cechowała. Próżno próbował Barlaam wpłynąć na ks. Ostrońskiego, aby Griszkę do habitu zakonnego i do Dermania choć przymusem wrócił; jak Pletenecki, tak i Ostroński twierdzili: „U nas kraj wolny, nikogo przymuszać nie możemy“. W Hoszczy przebywał Griszka przez zimę (1602—1603), ucząc się polszczyzny (później w Moskwie przetykał on nieraz własne słowa polskimi i tłumażył bojarom przemowy posłów polskich — tylko nauka łacińska szwankowała). Potem znikł z Hoszczy i wypłynął znowu aż po Wielkiejnoy r. 1603 w Brahimiu u ks. Adama Wiśniowieckiego, ale już nie jako Griszka Otrepjow, tylko

jako Dymitr Iwanowicz Uglicki, prawy spadkobierca państwa moskiewskiego. Komedyj ze spowiednikiem i pismem o losach swoich czy tam o zajściu z księciem w łaźni, które spowodowało odsłonięcie tajemnicy, powtarzać nie będziemy; dwoistość relacyj cechuje stale naszego szalbierza. Z Brahimia powiózł ks. Adam „carewicza“ do kuzyna swego, ks. Konstantego Wiśniowieckiego, do Załoziec — reszta wiadoma; Konstanty był zięciem Mniszcha i już 1 listopada 1603 r. donosił nuncyusz, że król wyraził życzenie, aby „carewicz“ przybył do Krakowa, żeby go dokładnie wybadać; już w Brahimiu zgłaszała się pierwsza Moskwa do „carewicza“, a niebawem zaczęły się kupić szeregi hałastry dla forytowania Samozwańca, zgłaszali się i Kozacy zaporoscy. Barlaam przypisuje sobie zasługę, że i do Krakowa do króla docierał, aby Samozwańca oskarżyć; odesłano go jednak do Sambora, do Mniszcha i Samozwańca. Tu osadzono jego i syna bojarskiego Pychaczewa, jako nasłanych od Borysa zbójców. Pychaczewa stracono, Barlaama rzucono do więzienia, skąd dopiero po miesiącach Mniszechowie go wypuścili; podczas panowania Samozwańca siedział Barlaam w Kijowie i dopiero po jego zamordowaniu wrócił do Moskwy i spisał „czolobitnię“ carowi Szujskiemu, w której zasługi swe w nadto korzystnem świetle przedstawił, abyśmy wszystkiemu wierzyć mogli.

Oto w głównych zarysach karyera Samozwańca, Griszki Otreppjowa, chociaż w szczegółach rozmaite jej wersje znacznie się różnią. O występkach młodości i „postrzyżeniu się“ dla uniknięcia grożącej kary milczą zupełnie inne źródła, wysławiające bogobojność Griszki, spokojną naukę domową u matki; dopiero czytaniem ksiąg, którego się Moskwa tak obawiała, zheretyczał i Griszka, nabrał się „łaciństwa“ i dla niego z Moskwy uszedł; oskarżenie o czarnoksiężstwo w ciemnej Moskwie samo się nastęczało, więc i sztuką dyabelską znikł Griszka z przed oczu braci i powziął myśl samozwaństwa. Dalej różnią się źródła co do tego, kto Griszkę z bracią na Starodub do Litwy przeprowadził; lecz co najciekawsze, zeznaje czerniec troicki Benedykt przed patriarchą Hiobem, że Griszka z Kijowa między Kozaków uchodził i z nimi ło-

trował, i że napróżno ihumen Pletenecki Benedykta z ludźmi wysłał, aby go chwytał; przed nimi to schronił się Griszka u ks. Adama Wiśniowieckiego. Wersya Borysa i Hioba z r. 1604 i 1605 wydaje się nam co do szczegółów pierwszej młodości prawdziwszą, dopasowuje się lepiej do późniejszego Samozwańca, krewkiego, zręcznego, silnego, obytego z bronią i koniem młodziana, chociaż grubo przesadza, gdyż Griszka właśnie i później nie „pijał“; więc możeby jej wiarę dać i w tem, co o ujściu jego z Moskwy opowiada: „Bogomodlec nasz Jew patryarcha, dowiedziawszy się o jego łotrowstwie i wzywaniu duchów nieczystych i czarnoksięstwie (!) ze wszystkim soborem namówili, zasłać go z towarzyszymi jego, którzy z nim byli jednego umysłu, na Białe Jezioro w więzienie na śmierć; i ten łotr mnich Hryszko, widząc swoją zgubę z towarzyszymi swymi, uciekł“. Natomiast relacya Barlaama (i Szujskiego) z r. 1606 okrywa wszystko jednostajnym pokostem pobożności, tak, że motyw nagłej odmiany późniejszej zupełnie zakryty. Za to ona o wiele dokładniej informuje o stacyach wędrówki polskiej: widocznie nie mogła być jeszcze Moskwa dokładniej w r. 1603—1605 *itinerarium* Griszki uznać; dla niej był on tylko „w Pieczarskim klasztorze i w Ostrogu i w Brahini i w dermańskim klasztorze dyakonem“, aż u Wiśniowieckich suknię zakonną zrzucił i „carewiczem“ zwać się począł; nie wiedziano więc w Moskwie o Hoszczy wcale, a o Kozakach dowiedział się Hiob dopiero od Benedykta. Różnice nie są wszakże tego rodzaju, aby nam wzbraniały Griszki Borysa i Hioba z Grizką Barlaama i Szujskiego utożsamiać. Lecz gdzież pewnoś, że ów Griszka obu relacyj był zarazem i Samozwańcem? Wiemy przecież — piszą o tem Jezuici z otoczenia Samozwańca do Ojea prowincyała 8 marca 1605 r. (a z listu tego dowiedziała się o tem niebawem cała Europa) wyraźnie — że w Putywlu między więźniami ze zdobytych grodów siewierskich przyprowadzono przed Samozwańca „i tego Hriszkę Otrepiejowa, sławnego w całej Moskwie czarnoksiężnika i nieponia, którego Godunow za naszego książęcia wydaje i cała Moskwa przekonać się mogła, że inną osobą Griszko, a inną

Dymitr Iwanowic“. To samo powtarzali w r. 1608 posłowie polscy: „I potym sami Moskwa, żeby temu wszysecy tem więcej wierzyli, odyskali niejakiego Hryszka Otrepiewa, Moskwicina, którego imieniem Borys Dymitra nazywał i stawili go w Putywlu przed wszystkimi, jawno pokazując w tym nieprawdę Borysową, a tego Dymitra prawdę wywodząc“. O ukartowaniu prostej komedyi w Putywlu nie wątpimy; ile bowiem wiemy, nie ważył się Samozwaniec w Moskwie Griszki Otrepjowa putywelskiego ludowi prezentować, usunięto go do Jarosławia pod pozorem pijaństwa i zbytków.

W najnowszym czasie starano się jednak udowodnić, że nawet Borys Godunow i Wasyl Szujski nie byli pewnymi tożsamości Samozwańca z Griszką Otrepjowym, że w aktach swych wahali się, nazywali go raz tym, to owym, że tylko przed ludem udawano tę pewność o Griszce, aby sumienia jego daremnie nie trwożyć. Przeczmy temu stanowczo; ani na chwilę nie wahali się ani Borys ani Szujski i tylko Griszka, żadna inna osobistość, uchodził u nich za Samozwańca, zawsze i wszędzie.

Powiedziano mianowicie, że jeszcze we wrześniu 1604 r., gdy układano w Moskwie list do Zygmunta III, który gońiec Posnik-Ogarjow miał mu doręczyć, Borys był przekonany o Samozwańcu jako o Griszce. Lecz z wysłaniem owego gońca, mimo grozy położenia, Borys zwlekał strasznie; tymczasem nabrano w Moskwie pewniejszej wiadomości o osobie Samozwańca i gdy nareszcie Posnik-Ogarjow 10 lutego 1605 r. w Warszawie przed królem stawał, nie zgadzały się już więcej wszystkie szczegóły ustnej relacji jego ze szczegółami owego wrześniowego listu. Mianowicie nazwał Ogarjow Samozwańca nie Griszką, synem setnika strzeleckiego Bohdana Otrepjowa, jak w liście wyraźnie było, lecz inaczej. Jak — nie zgadzają się źródła. Nuncyusz papieski Rangoni w depeszy z tego samego dnia opowiada, że Ogarjow nazwał Samozwańca „synem szewca“ (*d'un calzolajo*); poseł duński, że synem pisarza (*scribe*) i pachółkiem archimandryty; reces gdański, że Hrehorowiczem, sługą u „notaryusza“ archimandryty, którego to archimandrytę sądownie skazano

i utopiono, a słudzy się rozbiegli, między nimi i ów, co Dymitra udaje; wreszcie, wedle listu syndyka gdańskiego Keckerbarta nazwał Ogarjow Samozwańca „synem chłopa“.

Przy bliższem jednak rozpatrzeniu wszelkie pozorne wątpliwości się usuwają: Posnik-Ogarjow nazwał ustnie Samozwańca tym samym Griszką Otrepjowym, o którym i list jego prawil; lecz on mówił po rusku i ci, co Rangoniemu i innym obcym sprawę zdawali, sami a jeszcze więcej ci obcy (Rangoni, Holck, Keckerbart i t. d.) niezrozumiale im nazwy poprzekrećali: dowód tego dał by się z matematyczną pewnością przeprowadzić. Tryumf p. Szczepkina, że odnalazł nawet nazwisko tego, którego rząd Borysa po głębszem, ponownem zbadaniu rzeczy w r. 1605 za Samozwańca uznawał, mianowicie jakiegoś „Dymitra Hrehorowicza“, był zupełnie przedwczesnym: zdanie bowiem w recesie gdańskim brzmi tak: „Który to Dymitr (fałszywy) Hrehorowiczem (tak go Borys nazwał) sługą był i t. d.“ (nazwisko Hrehorowicz pomylił pisarz Niemiec z Hrehora, jak z księcia Sokolińskiego zrobił księdza Sokołowskiego i inne błędy na błędach sadził). Podobne kombinacye innego autora <sup>1)</sup> odpadają również — na najprostszych nieporozumieniach i źle dostyszanych nazwiskach nie da się nie trwałego zbudować.

Dla Borysa i Hioba był więc Samozwaniec od pierwszej do ostatniej chwili tylko Griszką Otrepjowym i nikim innym; tak samo dla syna jego, Fiedora. W przysiędze, którą mu przy objęciu rządów Moskwa składała, niema wprawdzie wzmianki o Griszce — mowa tylko o „worze“ (złodzieju), który

<sup>1)</sup> „Widocznie zmieniły się już o Otrepjewie domysły i mniemania na dworze moskiewskim; ale na publicznej audyencyi nie mógł tego powiedzieć poseł Godunowa wobec tyłkrotnie (? przecież nie w Polsce) tak przezeń, jak przez patriarchę uroczyste ogłoszonych zapewnień... mógł to uczynić tylko w nielicznem gronie najwyższych dostojników i dlatego to zapewne zażądał tej poufnej z nimi rozmowy“. Tymczasem wiemy, że właśnie *in plenissimo Senato*, przed wszystkimi Ogarjow owe mniemane „nowe, odmienne“ informatye o osobie Samozwańca wygłosił.

Dymitra Uglickiego udaje — lecz inaczej być nie mogło, skoro Samozwaniec tożsamości z Griszką ciągle się wypierał i teraz nawet niby prawdziwego Griszkę z sobą w obozie chował. Gdyby więc bojarów przysięgą przeciw Griszce wiązano, nie przeszkadzałyby im ona łączyć się z Samozwańcem.

Również i car Szujski, gdziekolwiek o Samozwańcu mówił, zawsze go i wyłącznie Griszką Otrepjowym mienił, czy to w deklaracji posłów kniazia Wołkońskiego i diaka Iwanowa, przed senatem polskim — w deklaracji tej młodość Griszki, służba u Romanowych i Czerkaskiego, jego złodziejstwa i t. d., przedstawione, jak w liście Ogarjowa — czy w listach do cesarza Rudolfa II i Macieja <sup>1)</sup>, czy w okólnikach, rozsyłanych miastom i wojewodom w Syberyi, w Permie i t. d. Odtąd nikt w Moskwie o tożsamości Samozwańca i Otrepjowa nie powątpiewał nigdy: „skazania“, legendy, chronografy z lat 1606 i następnych, pisane przez ludzi najrozmaitszych kondycyj — był między nimi nawet exkochanek Samozwańca i krajczy jego, książę Chworostynin — i partyj, jednoznacznie to samo twierdzą. Nie ma potrzeby długiego ich wyliczania; wymienimy tylko jednego, Abrahama (w świecie Awerkiego) Palicyna, znanego z dziejów oblężenia Ławry Troickiej przez Jana Piotra Sapiechę i z energicznej akcji przeciw Polakom, osobistości bardzo wybitnej i we wszelkie szczegóły wtajemniczonej. I on opowiada, że Samozwańca własna matka, Barbara Otrepjowa, brat i stryj (którego jeszcze Borys do Polski r. 1604 dla konfrontacji posyłał) uznawali — że mimo to szlachta i duchowieństwo go za syna Iwana Groźnego podawali, „choć wszyscy wiedzieli, że to czerniec Grzegorz, najbardziej zaś metropolita krutycki Pafnucy, przy którym Grzegorz w monasterzu cudowskim na

<sup>1)</sup> W liście do arcyksięcia Macieja z maja 1607 r., nazywa Szujski Samozwańca *einen fremden vermeinten Fürsten*, ale to nie dowód, żeby Szujski w „Griszkę“ już nie wierzył, nazwał on go przecież w tymże liście i „carem moskiewskim“, chociaż mu tej godności tak samo nie mógł przyznawać: jest to nie bardzo zręczna stylizacya kancelaryi moskiewskiej, mowa o „obcym (wtręcie), rzekomym księciu (uglickim)“.

kryłosie stawał". Niedawno odnaleziono dzienniki Greka Arseniusza, archiepiskopa elassońskiego, później suzdalskiego, który niegdyś we Lwowie ruskich „spudeów“ (studentów) uczył gramatyki greckiej, a od r. 1589 w Moskwie stale bawił, patriarchę Hioba zsadzał i Ignacego obierał, Samozwanca, a potem Marynę koronował; podaje on niektóre ciekawe wiadomości, że n. p. Mniszechowie projektowali wyjście Maryny za Szujskiego, mordercę jej męża (!), że para carska wzdrygała się przyjęcia prawosławnego Sakramentu Ołtarza, co wszystkich bardzo zasmuciło i t. d. I dla niego jest Samozwaniec tylko czerńcem Grzegorzem. Współczesne źródła powtarzają wreszcie nieraz, że Samozwaniec obwoził z sobą czerńca, który rolę Griszki na siebie przyjmował, a potem do fałszu się przyznał.

Możemy teraz jeszcze zapytać, jakżeż to sama familia Otrepjowych przyjmowała straszny ten wyrzut, że z jej łona właśnie wyszedł ten „wor-razstriga“? Familia Otrepjowych żyje może po dziś dzień, chociaż nazwę tę (późniejszą) odrzuciła i do pierwotnej powróciła. Otrepjowy są bowiem tylko gałęzią Nielidowych, Nielidowy zaś wywodzą się z Polski: „Władysław z Nilka Nielidowski“, mąż w Koronie znaczny, biorąc udział w posiłkowym hufie litewskim (przeciw Mamajowi r. 1380) osiadł w Moskwie i Włodzimierzem Nielidowym się przezwiał (nb. baśń to wierutna, ale w XVII wieku ruskie rody wywodziły się, za przykładem samego Iwana Groźnego, który pochodzenia ruskiego się wstydził i wypierał, a cesarza Augusta za praszczura sobie przywłaszczał, na gwałt z Niemiec, Polski i t. d.). Dawida Nielidowa, prawnuka Włodzimierzowego, przezwiał Iwan III Otrepjowym i nazwę tę rozgałęziony później ród zatrzymał do r. 1671. W tym roku bowiem udali się Otrepjowy z „czołobitnią“ do cara Aleksego. Powołują się oni na zasługi przodków, wiernych sług carowych; wymieniają i Smirnego Otrepjowa, „którego posyłano na Litwę dla oskarżenia i przeświadczenia wroga i odstępcy wiary prawosławnej, rozstrzygi Griszki Otrepjowa i w Moskwie Smirny z naszymi krewnymi, jego, wora przeklętego, przed narodem oskarżał i on, nie znosząc

oskarżenia od krewnych, męczył Smirnego i rodziców naszych za to oskarżenie i zesłał ich w zsyłkę w różne grody sybirskie, a domy ich wyniszczył z gruntu i byli rodzice naszy w zsyłce w grodach sybirskich dwa lata, cierpieli wszelką nędzę zesłańców od wora za oskarżenie“. Szujski kazał ich oswobodzić i służyli oni wiernie, w „izmienie“ nie bywali i „worom kriesta“ nie całowali. „A służąc wiernie od wszystkich ludzi znosimy hańbienie i wyrzuty, dłużej niż od lat sześćdziesięciu, daremnie, za nasze przewisko, dla worowstwa rozstrygi Griszki Otrepjowa... żeby nadal w rosyjskiem hosudarstwie przekłete imię i przewisko wora rozstrygi Griszki Otrepjowa nie wspominało się, a nam chłopotom twoim i potomkom naszym od tego przekłatego worowstwa Griszki hańbienia i wyrzutów nie było, car hosudar, zmiłuj się, pozwól (zmianę nazwiska)“. I rzeczywiście kazał się im odtąd car znowu Nielidowymi pisać. Widzimy więc, że i ród Otrepjowych przeciw samemu tytułowaniu Samozwańca Otrepjowym nie protestował i powtarzał prawdę (czy bajkę?) o prześladowaniu rodu przez Samozwańca. Jeśli zaś stronnicy Szujskiego w r. 1605 Samozwańca królewiczem polskim nazywali, czynili to tylko dla zohydzenia tego, którego pomoc polska na tron wsadzała.

Tradycya moskiewska, officjalna i prywatna, nie wątpiła więc nigdy, ani na chwilę nawet, o tożsamości Samozwańca i Griszki i my się do niej bez żadnych zastrzeżeń przyłączamy.

Jakto — zawoła znawca — a dowody Kostomarowa, który pierwszy tożsamość tę raz na zawsze obalił? a wywody innych badaczy, rozchodzących się nieraz bardzo znacznie w swych wynikach, ale jednogodnych co do niemożliwości łączenia Samozwańca i Griszki?

Na dnie wszystkich podobnych wywodów rosyjskich spoczywa, nieraz zupełnie bezwiednie, instynktowo, obrażona duma narodowa. Nie może się ona ani na chwilę pogodzić z myślą, aby to byle-jaki włóczęga i przybłęda był wstąpił na majestat carski, a co jeszcze więcej boli i upokarza, żeby szlachta i duchowieństwo moskiewskie jawnego oszusta, do-

brze wszystkim znanego, na majestacie tym tak długo cierpieli, szalbierzowi potakiwali. Niemożliwe to; musiało być coś w tym szalbierzu osobliwego, co go do tej roli uprawniało i popychało; musiał on mieć jakieś prawa do tego majestatu, choćby był tylko synem pobocznym, n. p. jednej z licznych carye (młodych żon Iwana Groźnego i najstarszego syna jego, osadzanych za byle co po klasztorach) czy kogoś z rodu carskiego lub z przybliżonych do niego, wychowywany choćby pod nazwiskiem Otrepjowa na północy, w Galiczu. Inni nawracają nawet na dawno porzucone tory i odkrywają w Samozwańcu Dymitra Uglickiego, uzasadniając domysły swe w sposób, którego by im pozazdrościł autor *Vicomte'a de Bragelonne*. Obcym badaczom znowu imponuje tak dalece Samozwaniec, że dla samych jego przymiotów umysłowych odgadywaliby w nim syna Batorego czy Polaka jakiegoś. Jednem słowem, wyczerpują wszelkie możliwe kombinacye, aby tylko ująć upokarzającej czy niezwykłej prawdzie dziejowej.

Co się najpierw owego upokorzenia tyczy, nie narzucajmyż naszych skrupułów wiekowi XVII. Społeczeństwo ówczesne przyznało się najuroczyściej, przez usta Palicyna n. p., do owej hańby, a że podły przybłęda mógł rolę carską świetnie odegrać — nie święci garnki lepią. Wyjścia nie było innego: odwieczny ród carski wygasł; ciężko zawisła ręka przebiegłego i nieubłaganego uzurpatora nad każdym wybitniejszym rodem i członkiem jego; szczęścia próbować mógł już tylko awanturnik, a niezadowolenie z rządów uzurpatora wabiło na takie przedsięwzięcie. Za Griszką może nawet nie stał nikt specjalnie; może nikt nim nie kierował; może nikt go nie przysposabiał do roli, jaką miał odegrać; w własnej głowie jego zakiełkował może jeszcze w Galiczu pomysł, dojrzewający po monasterach i w Polsce, podjęty przez Wiśniowieckich, Mniszchów i Jezuitów, ukoronowany przez Massalskiego, Basmanowa, Bielskiego.

Nie na plotkach i domysłach, jak dzisiejsi historycy, oparł Borys swe oskarżenie: całe morze krwi ludzkiej mógł on wylać i wylewał istotnie, aby dobadać się prawdy, a po-

magał mu najgorliwiej stronnik jego, patriarcha Hiob, dla którego żaden monaster żadnej tajemnicy nie posiadał. I nie spieszyli się Borys i Hiob z domysłem, nie rzucali go też na wiatr. Cóż było dla nich łatwiejszego, jak zaraz przy pierwszym pojawieniu się Samozwańca w Polsce okrzyknąć go „worem litewskim“ i temsamem zohydzić go raz na zawsze narodowi? Lecz na ten najnaturalniejszy pomysł wytrawni ci ludzie ani na chwilę nie wpadają i pozostawiają dopiero prof. Iłowajskiemu, w Samozwańcu odkrywać „wora litewskiego“; wysyłają oni natomiast szpiegów, inkwirują i dochodzą nareszcie prawdy i wyznają ją, chociaż już sam fakt rosyjskości Samozwańca był dla nich bardzo niewygodnym. Od chwili zaś, gdy tajemnicę „rozstrygi“ uznali, a żadnych współników innych nie odkryli, nie ustąpili nigdy więcej ani oni, ani ich następcy od Griszki Otreppjowa; wahania żadnego Borys, Hiob, Szujski, nigdy nie znali. Więc jeśli, pomimo tych środków nieprzebranych i wysiłków nadzwyczajnych, i oni się pomylili, to z pewnością nie my prawdę wykryjemy i wolimy, przyznajemy otwarcie, mylić się z Borysem, niż puszczać się na manowce Dumasa ojea.

Zarzucić można temu rozumowaniu naszemu płaskość, trywialność — „prawda ma być prosta“, dawne przysłowie — a przede wszystkim to, że opieramy się wyłącznie na źródłach ruskich, pomiatamy obcemi, co bardzo wygodnie, ale niekrytycznie. Dlaczego obcych sprawozdawców nie uwzględniamy, wyjaśniliśmy wyżej; są między nimi wierutni Münchhausenowie, kłamiący dla kłamstwa samego, jak Horsey i Cilli; inni, Massa lub Petrejus, kłamią również, chociaż mniej bezczelnie. Wina ich głównie w tem, że powtarzają, co gdzieś kiedyś pochwycili — a co za bajki i plotki po świecie krążą, widzimy dziś jeszcze, w wieku telegrafów, publicystyki i reporterstwa, na każdym kroku. Przyczyny więc, które Borysa i Hioba do uznania w Samozwańcu Griszki Otreppjowa skłoniły, i nam wystarczyć mogą zupełnie, tajemnicy zaś pani samej, Barbary Otreppjowej, matki Griszki, śledzić nie myślimy.

Widzimy więc w Griszce syna, prawdziwego czy udanego, szlachetki galieckiego, przeznaczonego nie do czerńców, lecz na służbę „bojarską“, świecką. Dwa lata pobytu polskiego, w wieku najbardziej na wpływy zewnętrzne wrażliwym, nałożyły na Griszkę to piętno polskości, które nawet w wymowie jego Moskwę raziło (nb. jeśli cudzoziemcom wierzyć możemy); nadały mu ową pewność siebie i wyższość nad całym otoczeniem moskiewskim; okrzesały go z dzikich uprzedzeń przeciw łaciństwu i zachodowi, cechujących starą Moskwę; otworzyły mu oczy na straszne zaco-fanie, jakie w Moskwie, porównując stosunki polskie, wszędzie dopatrywał, wywołały u niego pragnienie reform i przeobrażeń. I tak wyprzedził Griszka Piotra Wielkiego o cały wiek: Piotr dokonywał tylko tego, co już Samozwaniec zamierzał; jeśli n. p. u Niemojewskiego czytamy: „Akademików z obcych ziem, a mianowicie z Francyi, przywołać (chciał Samozwaniec) dla pobudzenia animuszów grubych poddanych swych do szlachetności i policyi“, przypominamy mimowoli, jak za Piotra ta projektowana akademia rzeczywiście stanęła, chociaż ją nie we Francyi, lecz w Niemczech werbowano i w Petersburgu, nie w Moskwie osadzono.

Brakło Samozwańcowi, przy całej jego dzielności i zdolności, żelaznej woli i nieugiętości Piotrowej. Awanturnik, dopadłszy raz tronu, zapomniał o wszelkiej ostrożności; nadmiernem powodzeniem zepsuty, pieścił on w rozbującej fantazyi plany, jeden większy niż drugi; nie wiedział, co prędzej zacząć, czy wojnę z Szwecyą czy z Tatarami, do której się jawnie przyznawał, czy starania o zdetronizowanie Zygmunta III, co w najgłębszem ukryciu praktykował. On bynajmniej nie przesadzał, gdy życzliwe przestrogi usuwał zapewnieniem: „Nie masz tu nikogo, coby miał coś rzec przeciwko nam, a gdybyśmy coś takiego pobaczyli, w naszejby to mocy było i wszystkim jednego dnia zdrowie odjąć“ — lecz tej mocy nie zażył, zapomniał, że i niespodziankom baczny zapobiegać winien. Nie zapomnieli o tem wrogowie jego i skorzystali zdradziecko z jego opieszałości: zbytne powodzenie Samozwańca wydało im go w końcu całkiem bezbronnego.

Tu znowu nasuwa się trudność niezaprzeczona. Mniehwywłoka, jeśli z niskich warstw wyszedł — z kąd wzięły się u niego ta pewność siebie, te szerokie pomysły, ta swoboda umysłowa, ta ambicya niesłychana, cechująca Samozwańca? Nie z prostych czerńców taki człowiek mógł wyjść, musiał on być rodu wysokiego, carskiego. Argument ten jednak celu chybia. Przyznajemy wprawdzie chętnie, że Samozwaniec, zjawisko wyjątkowe, że na takich ludzi w Moskwie ówczesnej materiału wcale nie było — ależ Samozwaniec i jako syn Iwana Groźnego czy jednego z Romanowych, choćby go nawet, czego przecież nie było, w tradycjach carskich wychowano, pozostałby tą samą anomalią, jaką w synie sotnika strzeleckiego uznać musimy. Argumentem takim mogliby tylko ci wojować, którzyby ogółem w ruskie pochodzenie Samozwańca nie wierzyli, którzy Polaka czy Litwina w nim wietrzą; lecz ta hipoteza z całkiem innych przyczyn znowu ani na chwilę utrzymać się nie da; że Samozwaniec nie z Polski wyszedł, dowodzi choćby jego nieumiejętność łaciny, niepewność polszczyzny, wyznanie własne, że w Moskwie po czerńcach się tułał.

Najsutelniejsza analiza źródłowa nie zdołała wykazać ani rodu ani stanu specjalnego, któryby w Moskwie Samozwańca wyniósł; nie stworzyli go ani Bogdan Bielski, ani Szczelkałowy (nie mówiąc o Romanowych), nie wymyślono roli jego ani w kancelaryi „dworcowej“, ani w celach monasterskich; widoczne to i w odznakach, jakie Samozwaniec rozdawał. Do grona jego poufałych i wyniesionych stosunkowo najwyżej zaliczali się ci tylko, co mu drogę dopiero od Siewierszczyzny do Moskwy torowali, Massalski, Basmalow, archiepiskop Ignacy, nie zaś mniemani wybawiciele młodości jego; niezawisłość Samozwańca od Bielskiego i wszystkich innych, pomawianych o tę rolę, razi oczywiście; że Nadzy wielkich zaszczytów dostępywali, to należały się im one dla komedyi samej — i z Polski tylko Mniszechowie hojnie obsypani darami; w całym otoczeniu „Dymitrowem“ nie ma i śladu jakiegoś „Kingsmakera“, jakiegoś Warbeka,

co bardzo zastanawia; widocznie Griszka sam sobie najwięcej zawdzięczał, na nikim innym osobliwiej nie polegał.

Obstajemy więc przy nieprawdopodobnem, ale prawdziwym twierdzeniu, że Samozwaniec to Griszka Otrepjow, który nasłuchawszy się w młodości wczesnej galickiej tyle o Dymitrze i jego losie, powziął myśl fantastyczną, podać się za zabitego, gdy powodzenie Borysa chwiać się zaczynało, który z myślą tą może już w Moskwie się nosił i zdradzał, i przed grożącym mu dlatego niebezpieczeństwem z Moskwy uszedł tam, gdzie go z otwartemi ramionami przyjęto. Na powodzenie mógł teraz śmiało liczyć; masy „opalonych“ ludzi, sług bojarskich i innych, napływały do niego, skoro wieść pierwsza o nim gruchnęła; liczni i silni wrogowie Godunowych odetchnęli i podnieśli głowy.

Lecz nie jest naszym zamiarem, opowiadać dalsze losy i dzieje pierwszego Samozwańca, śmiałego i energicznego szlachetki, co tron moskiewski innemu uzurpatorowi szczęśliwie odbił, aby go znowu utracić. Wobec rozbudzonego najnowszemi publikacyami ruchu na tem polu, zamierzaliśmy tylko przedstawić osobę i stosunki, wśród których działała. Wyszedłszy z założenia podstawowego, że w Ugliczu 1591 r. prawdziwego Dymitra zabito, wróciliśmy do pozycyi, której oficjalna Moskwa i jej historyografia nigdy ani na chwilę nie porzuciła, że Samozwaniec był mnichem-wywłoką, Griszką Oprejowem, nieco starszym (o lat kilka) od tego, którego udawał; zdanie, jakoby Borys i Hiob (lub Szujski) kiedykolwiek o identyczności Griszki i Samozwańca powątpiewali, usunęliśmy jako bezpodstawne; wyszukiwanie innego Otrepjowa Samozwańca, nie Griszki, wydaje się nam zbytecznem, rzeczy w gruncie nie zmieniającem.

Nie mówiliśmy wcale o tej, która losy Samozwańca dzieliła, o „Marynie“ Mniszcówniej, dlatego, że za życia Samozwańca ona samodzielniej jeszcze nie występowała; odegrała była tylko rolę kornej córki, wypełniającej ślepo rozkazy rodzicielskie. Ludzie, którzy słyszą, jak trawa rośnie, twierdzili wprawdzie, że to dumna i zalotna Polka naprowadziła Griszkę na odegranie roli samozwańczej, zwalali więc winę

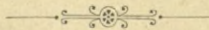
na kobietę, jak na Jezuitów i t. d. Ależ wolno ją było taką wystawić Puszkinowi albo Szujskiemu w „Kronice“ dramatycznej, nie historykom. Wiemy przecież z Niemojewskiego, że podczas katastrofy była ona jeszcze zupełnie dzieckiem nie więcej charakterystycznego, jak owe słowa dyaryusza: „Ona (po zamordowaniu Samozwańca, przywiedziona do ojca Mniszcha) podobno prze młodość swoją jeszcze nie konsyderując nieszczęścia swego, mniej frasunku pokazywała i mało sobie przeszłe dostatki ważąc mówiła: „Wolałabym, żeby mi murzynka wrócili, którego mi wzięli, niż wszystkie klejnoty i ochędóstwa“ — a niemało tego miała. „Ale w drobnem ciele „Maryny“ była harda dusza — próbkę wczesnej hardości można i u Niemojewskiego odnaleźć (str. 66) — rychło też zmężniała „Maryna“ w ciężkich przejściach i nie okazała się niegodną stanowiska, na jakie ją kaprys losu był wyniósł; lecz odnosi się to do lat następnych, więc pomijamy je tutaj, przypominając tylko, że pamięć o złej „Marynce“ w ruskich pieśniach-bylinach tak się ustaliła, iż imię jej każdej czarownicy i babie-sekutnicy przyłgnęło.

Kończymy, nie wyczerpawszy bynajmniej materii. Gdybyśmy każde źródło dawne oceniać, jego błędy i sprzeczności wykazywać mieli, gdybyśmy argumenta nowszych dziejopisarzy, Kostomarowa i innych, ważyć i osłabiać chcieli, miejsca by nam zabrakło. Nęciło by nas jeszcze niejedno, jak to się n. p. sam wojewoda sandomierski na sejmie warszawskim r. 1611 przeciw zarzutom bronił; mogliśmy nawet dorzucić z rękopisów dawnych jeden i drugi szczegółik, n. p. o owym Bolończyku, Antonio Riati, który bynajmniej nie dla samego błaznowania za Samozwańcem zjechał, którego miejsce było w projektowanej akademii moskiewskiej<sup>1)</sup>. Opierając się jednak tym pokusom, zaznaczamy jeszcze tylko

<sup>1)</sup> W jednym z rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej czytaliśmy współczesny paszkwil: nagrobek na Riatego, gdzie cały jego nieco awanturnicza karyera i defekty moralne drastycznie wystawiono; z pogromu moskiewskiego uszedł on szczęśliwie, lecz prócz życia nic nie ocalał; hojne dary Samozwańca odebrano chciwemu Włochowi.

z największą wdzięcznością, ile winniśmy pracom szczególnie dwóch niez mordowanych zbieraczy, którzy, jeśli hr. Szeremietjewa pominiemy i jego dotąd nieznanne archiwa, najwięcej materiałów w nowszych czasach dla dziejów Samozwańca ze wszystkich możliwych archiwów i bibliotek, publicznych i prywatnych, nagromadzili. Są nimi, jak już u wstępu wspomnieliśmy, Dr. Aleksander Hirschberg, autor monografii o Samozwańcu i wydawca owego Pamiętnika St. Niemojewskiego, z którego tylokrotnie w ciągu szkicu naszego korzystaliśmy, i p. E. Szczepkin, młody historyk odesski, autor obszernej, nader krytycznej rozprawy p. t. *Wer war Pseudodemetrius I*, ciągnącej się przez cztery roczniki w *Archiv für slavische Philologie* prof. Jagie'a i kilku odnośnych artykułów w publikacjach odesskich. Z prac obu uczonych korzystaliśmy ustawicznie; one były podniętą szkicu naszego, chociaż do ich wywodów ostatecznych nie przystąpiliśmy.

Nęciłoby nas nawet, przedstawić Samozwańca w świetle poezyi, jak go Schiller, Puszkina i Szujski i tylu innych autorów, począwszy od Sumarokowa, pojmowało i wyobrażało; lecz i to musiałoby być treścią osobnego studjum. Tu nadmienimy tylko, że prawdziwy Samozwaniec stokroć ciekawszy od fikcyjnego, że marom poetyckim Schillera i Szujskiego brak krwi i ciała, że ulepiają oni jakiegoś królewicza, pochodzącego z miejsc i czasów, obcych wszelkiej geografii i historii realnej, odbijającego najfatalniej od Łotryka, syna bojarskiego, co to przemyślem i szczęściem na tron Iwana Groźnego się wdarł. Najtrafniej jeszcze odgadł go, ocenił i przedstawił talent wielkiego rosyjskiego romantyka-realisty, Puszkina, lecz w kronice dramatycznej Puszkina Samozwaniec mniej występuje — tam Borys naczelną odgrywa rolę.





34407/  
2